MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 47. WARSZAWA, 23 LISTOPADA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

WNIOSKI

OSTATECZNE wyniki wyborów na sejm nie są jeszcze urzędowo ustalone, ilości mandatów wszakże, zdobyte przez poszczególne listy kandydatów, są już dzisiaj niemal całkiem dokładnie wiadome. Według doniesień Pol. Ag. Telegr., Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem (lista Nr. 1) uzyskał 248 mandatów, podczas gdy po poprzednich wyborach, w roku 1928, posiadał ich 122 (przyrost o 103%). Jeśli chodzi o dwa wielkie odłamy opozycji, to stronnictwa lewicy i środka, zjednoczone w Związku Obrony Prawa i Wolności Ludu (lista Nr. 7) przeprowadziły 79 posłów, gdy po wyborach w r. 1928 rachowały ich razem 164 (ubytek — 52%), natomiast Stronnictwo Narodowe (lista Nr. 4), które w r. 1928 liczyło tylko 37 posłów, powiększyło ich cyfrę do 63 (przyrost—70%). Jakież, pod pierwszem wrażeniem tych zestawień, nasuwają się wnioski co do teraźniejszego układu sił politycznych w Polsce, tudzież ich tendencyj rozwojowych?

W oczy rzuca się klęska ugrupowań centrowych i lewicowych. Niewątpliwie rozmiary jej byłyby mniejsze, gdyby nie mechaniczny zabieg unieważnienia listy Nr. 7 w szeregu okręgów, gdzie stronnictwa te rozporządzały oddawna utrwalonemi wpływami, gdyby nie mnóstwo przeszkód i utrudnień w okresie przedwyborczym oraz w czasie wyborów. Pozostaje niemniej faktem niezbitym, że odpowiedzią na represje wobec partyj lewicowych i ich przywódców nie był „gniew ludu“, wyrażający się chociażby w żywiołowem poparciu listy t. zw. „centrolewu“ przez rosnące gromady wyborców, ale, przeciwnie, szeregi sprzyjających temu obozowi przerzedziły się i osłabły, w niemałej liczbie uginając się i godząc z istniejącym dziś stanem rzeczy. W r. 1926 stronnictwa lewicowe i centrowe, ogłaszające ustrój demokratyczno-parlamantarny za podstawowy punkt swego programu, z lekkiem sercem „zalegalizowały“ objęcie władzy w Państwie metodą wojskowego zamachu stanu: Józef Piłsudski obrany został na prezydenta Rzplitej głosami wszystkich klubów lewicowych, jak również Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast“ i Narodowej Partji Robotniczej, do których grona należeli prezes Rady Ministrów oraz kilku ministrów obalonego przed dwoma tygodniami zaledwie rządu większości sejmowej. Obecnie tysiączne rzesze dawnych zwolenników tych ugrupowań oportunistycznie poddały się naciskowi, w podobny sposób „legalizując“ z kolei system polityczny i metody walki wyborczej, przy których pomocy Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem zdołał uzyskać połowę zgórą wszystkich mandatów sejmowych.

Co więcej, zmiany w ogólnem położeniu politycznem, jakie nastąpiły wskutek ostatnich wyborów, nie wytwarzają warunków, pozwalających rokować, że w zastępach zwolenników partyj lewicy i środka wzmoże się zapał, obudzą się nowe energje twórcze, że stronnictwa te odnajdą w sobie świeżą, nie dającą się zniszczyć żywotność i siły do rozrostu. Jedynym programem ogólniejszym, zespalającym poszczególne grupy „centrolewu“, głównem hasłem „listy Nr. 7“ podczas walki wyborczej był postulat powrotu do ustroju demokratyczno-parlamentarnego. Uzyskanie przez „listę

Nr. 1" bezwzględnej większości mandatów pozwoli obozowi „sanacyjnemu“ na utrzymanie całej swojej dotychczasowej władzy w Państwie przy nienagannem najzupełniej zachowaniu wszystkich formalnych cech wspomnianego ustroju. W imię jakich zasad ogólnych mógłby wówczas — zwłaszcza w swojej dzisiejszej postaci — blok centrowo-lewicowy organizować żywioły opozycyjne w kraju przeciwko panującemu obecnie systemowi?

Przyrost sił, w stosunku do poprzednich wyborów bardzo znaczny, wykazały zarówno partja rządowa (Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem), jak i zdecydowanie opozycyjne Stronnictwo Narodowe. Czy jednakże przyrost ten w obu wypadkach ma jednakie znaczenie i może być w taki sam sposób traktowany?

„Lista Nr. 1“ najwspanialsze sukcesy osiągnęła we wschodnich województwach kresowych, przyczem w okręgach o najniższym poziomie oświaty i kultury, o przewadze liczebnej ludności obcojęzycznej (np. Kowel, Krzemieniec, Brześć nad Bugiem, Pińsk) otrzymała po 100% mandatów. Zbyt pośpieszne i źle orjentujące dla na dalszą metę zakreślonego planu polityki narodowej na wschodzie byłoby wyprowadzanie stąd wniosku, że nietylko cała ludność owych ziem doskonale już została zasymilowana ze społeczeństwem polskiem i przeniknięta polską myślą państwową, ale co więcej — jak wynika z oceny wyborów na łamach oficjalnej „Gazety Polskiej“ — stanowi chyba wzór niedościgły dla Poznania, Pomorza, Mazowsza, Kujaw i t. d. pod względem zdolności zrozumienia „wielkiej idei, zmierzającej do potęgi Polski“... Zamykanie i konfiskaty pism opozycyjnych, odezw, ulotek, zdzieranie plakatów agitacyjnych, udaremnianie zebrań, a łącznie z tem ogromna przewaga środków finansowych po stronie partji rządowej, były powodem, że w całym kraju na listy opozycyjne głosowali wyłącznie prawie ludzie o wyraźnych, określonych sympatjach politycznych, natomiast wyborcy mniej świadomi rzeczy, chwiejni, ulegający chwilowym wpływom, bez przeciwwagi nieomal poddani zostali suggestjom, nie przebierającej w sposobach, propagandy na rzecz „listy Nr. 1". Bezpartyjny Blok pozyskał też liczne bardzo głosy jednostek, miłujących „spokój za wszelką cenę“, a wobec tego gotowych bez zastrzeżeń poprzeć „tych, co mają siłę“, aby przez przeciwstawianie się ich postępowaniu nie zaostrzać walk wewnętrznych i unikać związanych z niemi kłopotów. Wiadome jest wreszcie, że popieranie „jedynki“ podczas wyborów nie wymagało od jej wyznawców ani narażania się ani osobistych wyrzeczeń, a taki komfort w pracy politycznej pociąga niejednego, stając się, często nawet niezupełnie uświadomioną, właściwą wytyczną postępowania.

Niewątpliwie odmiennie całkiem przedstawia się pod tym względem powodzenie wyborcze Listy Narodowej. Uzyskała ona przyrost mandatów o 70%— w ciężkiej walce, pomimo aresztowań, napadów, najwymyślniejszych niejednokrotnie i najbardziej nieoczekiwanych przeszkód i utrudnień. Współdziałanie czynne w akcji wyborczej Stronnictwa Narodowego wymagało w wielu wypadkach nielada charakteru i niemałej odwagi. Nie w jednej akcji trzeba było potrafić oprzeć się naciskowi, umieć cenić swoją godność i wierność własnemu przekonaniu wyżej, aniżeli korzyści spodziewane czy uniknięcie grożących niebezpieczeństw.

Świetny socjolog francuski, G. Tarde, wskazuje słusznie: „Jest rzeczą niezmiernie ważną, by — rozpatrując prace statystyków — nie zapominać o tem, że w gruncie rzeczy, przy pomocy statystyki usiłuje się mierzyć wartości wewnętrzne człowieka, jego wierzenia i pragnienia, i że stąd często bardzo, przy jednakowych wynikach cyfrowych, akty obliczone w ten sposób posiadają wagę nader odmienną... stąd powód do złudzeń u tych, których wyniki statystyk wyborczych radują albo też niepokoją więcej, niżby należało“ [1])...

W tem świetle waga przyrostu głosów, oddanych na „listę nr. 4“ jest niezaprzeczenie o wiele większa, aniżeli waga pomnożenia się liczebnego Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Przyrost ten nie jest czemś powierzchownem czysto, chwilowem, ale w znacznej mierze świadectwem widocznem coraz głębszego przenikania idei narodowej w społeczeństwo, w niemałym stopniu też wyrazem zewnętrznym faktu gromadniejszego coraz wchodzenia we współczesne życie polskie młodych, narodowo myślących i czujących pokoleń. Jeśli wybory z r. 1928 unaoczniły wszystkim, że świadomy celów swych, zorganizowany obóz narodowy jest wciąż jeszcze w Polsce dzisiejszej nieliczną stosunkowo mniejszością, to wybory obecne pokazały w sposób niezbity, że—pomimo przeszkód— mniejszość owa rozrasta się, krzepnie, że tężeją jej siły i rozszerzają się wpływy.

Zagadnienie zaś, czy obóz „sanacyjny“ skorzysta ze zdobytej ostatnio większości w sejmie, pozwalającej mu na nieskrępowane faktycznie rządzenie Państwem na podstawie zachowanych dotąd formalnie przepisów prawnych, czy też przeciwnie, z samego nałogu chociażby, nie zechce wyrzec się dotychczas uprawianego przez siebie systemu, nie może być dla opinji narodowej i dla jej stanowiska rzeczą o rozstrzygającem znaczeniu. Nie o formę przedewszystkiem, ale o treść rządów walczył zawsze i walczyć będzie obóz narodowy, o treść zgodną z podstawowemi zasadami naszej cywilizacji, z obowiązującemi w niej ambicjami historycznemi i pojęciami moralnemi, treść świadomie urzeczy-

---

[1]) G. Tarde: *„Les lois de l'imitation“* Paryż, 1890, str. 119.

wistnianą w zagranicznej i wewnętrznej polityce Państwa i we wszystkich wogóle dziedzinach polskiego życia narodowego.

Walka z „sanacją“, z powodu używanych przez nią metod działania, tak dalece istotnie przeobraziła się w walkę o *A*, *B*, *C*, o najbardziej elementarne zasady i obyczaje kulturalnej zbiorowości, że z natury rzeczy stan taki grozi zepchnięciem życia politycznego i myśli politycznej w Polsce na poziom coraz większy niepokój budzącego prymitywu. Tembardziej obowiązany jest teraz obóz narodowy, idący naprzód, świadomy przyrostu sił swoich, do twórczego wysiłku myśli nad rozwiązywaniem coraz nowych, trudnych, powstających dzisiaj przed Polską zagadnień.

JAN REMBIELIŃSKI

DJALOG Z PRZYJACIELEM

„...przed oczyma wyborców postawiono tylko dwie alternatywy: pana Bonapartego i przepaść. Widmo komunizmu i piękno dyktatury „moralnej“ pana Bonapartego... Spokojny mieszczanin, ciemny wieśniak, głodny robotnik i wystraszony, zdeprawowany urzędnik głosowali za panem Bonapartem“ (W. Hugo: „*Napoléon le Petit*“).

JAKO abonentowi „Naszej Przyszłości“ — wolnej trybuny zachowawczej, przysłano mi ostatni zeszyt tego czasopisma, do którego zaabonowałem się w uznaniu, iż zapoznawać się należy z wszelaką ideologją, chociażby sobie najprzeciwniejszą, ale cenną przez to, że jest ideologją w okresie spekulacyj i konjunktury. Nie zdziwiłem się też, widząc na liście współpracowników wspomnianego zeszytu szanowne nazwisko Józefa hr. Tyszkiewicza (spotykane i w poprzednich zeszytach), gdyż wiadome mi było, że kresowy ten działacz sympatjami swojemi, terytorjalnemi, czy właściwemi swojej sferze, przechyla się raczej w stronę obozu dziś w Polsce rządzącego, o ile wszakże wysoki punkt, z którego zazwyczaj patrzyć chce na sprawy, nie powstrzymuje go wogóle od mieszania się do czynnej polityki.

Zdziwiłem się za to, zapoznawszy się z tekstem artykułu hr. Tyszkiewicza — i to bynajmniej nie w całości, gdyż, jak zwykle, ten jeden z najwybitniejszych naszych pisarzy katolickich ujmuje poruszane przez siebie zagadnienia i w tym artykule głęboko, a tak odmiennie od zdawkowej plewy publicystów obozu ziemiańskiego. Zdziwiła mnie jednak konkluzja artykułu mądrego, z którym w zasadniczych chętnie godzę się linjach, konkluzja umotywowana słabo i jakby doczepiona, pod wpływem gorączki wyborczej, do jasnych i przekonywujących poprzednio wywodów. Do konkluzji tej powrócimy zaraz.

Ale nim to uczynię, niechaj mi wolno będzie zaznaczyć, że do tej polemiki, którą, nazbyt może poufale, zatytułować sobie pozwoliłem: „Djalog z przyjacielem“, przystępuję z najwyższą niechęcią. To nie jest to, co uprawiane przezemnie od lat już tylu rozprawianie się z wrzodami i naroślami konserwatyzmu, to nie to, co walenie na odlew w te „*têtes de Turc*“, w źle zakonserwowanych bonzów i źle wyhodowany narybek bankrutującego z winy samych konserwatystów konserwatyzmu. W tej polemice wiem, że mam do czynienia z człowiekiem zupełnie innej od nich próby i dlatego, uważając za swój obowiązek danie w tej ważnej chwili świadectwa prawdzie, poświęcę jeszcze słów kilka oponentowi mojemu, właśnie dlatego, by z racji przemilczenia nie ucierpiała prawda.

Tyszkiewicz — jako człowiek i pisarz — jest, rzec można, antytezą przeciętnego dziś w Polsce ziemianina-konserwatysty. Nie wystarczają mu piękne tradycje rodzinne, jak tego wojewody kijowskiego Tyszkiewicza, co to już — czytamy o tem w księgach Kochowskiego — na sejmie przełomowym 1648 roku grzmiał i walczył przeciwko tym samym sektom, które i dzisiaj podminowują Polskę. Nie wystarczają mu tradycje: on zgodnością z niemi życia świadczy na ich korzyść lepiej, niż głośne a puste frazesy, niepoparte codzienną danią uczynków. Jest Tyszkiewicz i człowiekiem czynu, jest organizatorem, a Bibljoteka Wiedzy Religijnej przy ulicy Litewskiej stała się tego czynu, tego organizatorstwa pomnikiem. A nareszcie — i za to go cenię i kocham — jest „sam wśród ludzi“, sam pośród tłumu krewnych sobie, ale nie pokrewnych konserwatystów-ziemian, narażony na zarzuty i przytyki, że woli chodzić w pojedynkę, niżeli dać się ciągnąć na ogonie karjerowiczów, oportunistów i snobów, którzy dziś wielbią Piłsudskiego, wczoraj łasili się do Dmowskiego, a jutro — co nie daj Boże! — gotowi akodomować się z równą łatwością i gracją do jakiegoś Marchlewskiego.

To powiedziawszy, tembardziej się dziwię konkluzji artykułu w „Naszej Przyszłości“. Brzmi ona ni mniej, ni więcej, tylko, że

„w obecnej chwili jakakolwiek walka z rządem równa się zdradzie stanu, zdradzie najwyższych ideałów Ojczyzny“.

Nie dalej, jak wczoraj czytałem rozlepioną na murach Warszawy odezwę peowiacką, w której opozycjonistów piętnowało się także, jako zdrajców, dodając w przypisku zapowiedź zwykłych w takich ramach sankcyj. Tyszkiewicz o sankcjach nie wspomina, bo jest chrześcijaninem, a nie peowiakiem z ducha, niemniej wszakże pozostaje w nas uczucie przykre, że przełknął, że zapomniał o tem wszystkiem, co jako metody, jako gwałty, jako zaprzeczenie etyki chrześcijańskiej stanowiło niestety w kraju naszym treść i miąższ ostatnich lat czterech. Jakżeż bowiem wymownie sam on pisze o nieprzyjaciołach rodu ludzkiego, bolszewikach:

„Chwilowo... nie chodzi bolszewikom o cel danych rozruchów, nie gra tu roli większa lub mniejsza ilość trupów, a chodzi tylko o powiększenie zamieszania, parcie do wojny domowej i rozkładu. I tu znów chyba tylko ludziom złej woli trzeba cytować przykłady, bo przecież dość przyjrzeć się bezstronnie temu, co się u nas dzieje“.

Jaką wojnę domową, jakie zamieszanie i rozruchy, jaki rozkład ma tu na myśli hr. Tyszkiewicz?

Autor „Eurazji“, pośród rozlicznych swoich „*bêtes noires*“, — a ma on na „sztrece“ wiele czarnych masońskich bestyj — żywi zdecydowaną także antypatję do nacjonalizmu. Jaskrawy dał jej wyraz dwa lata temu — i znowu, jak uciął, na dwa dni przed wyborami, publikując w „Dniu Polskim“

artykuł „Za tarczą katolicyzmu“. To rzucanie anatem na niesympatyczny sobie obóz w paroksyzmie największej gorączki wyborczej, podczas kiedy zresztą, w przeciwieństwie do nas, zwykłych śmiertelników, żyje się raczej *„au-dessus de la mêlée“*, przypomina mi — czego stwierdzenie nie ubliży chyba hr. Tyszkiewiczowi, a conajwyżej przygodnym jego komilitonem — pamiętne mi z młodości mojej wciąganie do rozgrywki politycznej autorytetu ś. p. ojca mojego przez konserwatystów nie tego samego wprawdzie miasta, ale tego samego odłamu.

„Tu jasnym dowodem (związków nacjonalizmu z masonerją) — pisze hr. Tyszkiewicz — jest forma taktyki. Pociąganie młodzieży przez wyzyskiwanie młodych i czystych porywów patrjotyzmu, gorącej miłości kraju i chęci czynu,... wciąganie w swe szeregi mniej oświeconej części duchowieństwu przez wdzięczne hasła walki z wrogami Kościoła“.

Daruje hr. Tyszkiewicz, że w tym punkcie jego wywodów laik-katolik zafrasuje się nieco: Skoro bowiem zaczniemy, stojąc w nawie, czy kruchcie, cenzurować naszych pasterzy wedle tego, czy są mniej czy więcej oświeceni i komu naiwniej dali się „nabrać“, boję się, iż tłum wiernych rozszczepi się na zwolenników rządowców lub opozycjonistów w sutannach i że naprawdę do żadnego nie dojdzie się tutaj ładu.

Co zaś do młodzieży, to zapewniać nawet nie potrzebuję hr. Tyszkiewicza, że widzi jasno, że orjentuje się w hasłach, które on, obok innych, rozwijał w „Eurazji“ i pomniejszych sobie pismach, że dużo mniej jest bałamucona i obałamucona od pokolenia swoich ojców. Raczej niech zechce mi hrabia wytłumaczyć, dlaczego w walce z masonerją, w której chyba on i ja narówni jesteśmy zaangażowani, największe milczenie zalega jakoś okopy tego właśnie obozu politycznego, na który on sam zalecał głosować, a opór właściwy, wyrażający się nietylko w ulotnych i zawodnych hasłach wyborczych, ale w konsekwentnie zorganizowanej pracy badawczej i demaskującej, o której i jemu wiadomo, jemu *„qui magna pars fuit“*, skoncentrował się po stronie tych czynników, co, jak niżej podpisany, rząd zwalczają i którym, gdybyśmy chcieli *„à la lettre“* brać zarzut hrabiego, przysługiwałoby chyba miano zdrajców, użyte w jego artykule[1]).

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

[1]) Nie dalej jak kilka dni temu w krakowskiem Towarzystwie historycznem toczyły się obrady nad dziejami masonerji w Polsce. I — jak stale, rzecz charakterystyczna! — wśród krytyków jej roli znaleźli się sami opozycjoniści, nieliczni zaś reprezentanci obozu rządowego zachowywali się w sposób dla masonerji wyrozumiały czy przychylny.

UWAGI NAD POWSTANIEM LISTOPADOWEM

(Ciąg dalszy)

III

SAMI ideologowie powstania nie umieli się zgodzić na przyczynę, która im wetknęła broń do ręki. Po upadku powstania stworzono naprzykład wymówkę: oto zadowolenie z istniejącego stanu rzeczy szerzyło się jakoby w tak zastraszający sposób, że należało obawiać się, iż ugodowość, kompromisowość wyrodzi się w zaprzaństwo i zapomnienie o ideałach narodowych zjednoczenia i niepodległości. Trzeba było między najeźdźców i podbitych rzucić morze krwi, stworzyć przepaść nie do przebycia i ratować naród od zguby moralnej.

Ten argument zaprzecza owemu powszechnemu zapałowi do walki, o którym była mowa wyżej, a który ci sami obrońcy powstania przytaczają jako przyczynę wybuchu, niepodobnego do opanowania. Niechajże wielbiciele przelewania krwi zgodzą się na jedno: Albo było powszechne uniesienie, a w takim razie nie groziło odstępstwo i zaprzaństwo, albo ogół istotnie godził się z istniejącym stanem rzeczy i nie pragnął niczego więcej, a w takim razie nie było żadnego zapału do narzuconej walki.

Deklamacja o konieczności przelewania krwi dla utrzymania ducha, oraz o cudownych właściwościach rozlewu krwi, która sama jedna ma budować przyszłość, została znowu przeniesiona do nas modą naśladownictwa z rewolucji francuskiej i stosowana w sposób ograniczenie płytki. W roku 1846 byli w tarnowskiem agitatorzy demokratyczni, którzy wierzyli, że samo wyrznięcie szlachty zbuduje Polskę, tak poprostu: dziś w nocy we wszystkich dworach pozostawi się zakrwawione trupy, a jutro już niema zaborców, tylko Polska wolna od morza do morza. Tak to zagraniczne zdarzenia lub hasła przyjmują uproszczone formy w głowach krzykliwych doktrynerów polskich. Najciekawsze, że tacy hojni szafarze krwi rodaków, skoro przyjdzie do czynu, uciekają do dziennikarstwa, administracji, w najgorszym razie do biur wojskowych, byleby nie uronić swojej własnej cennej krwi ani kropelki.

Tymczasem doświadczenie uczy, że po każdej takiej klęsce powstańczej następowały masowe odstępstwa. Po upadku powstania listopadowego wszyscy prawosławni Polacy, a takich wtedy było wielu, zostali Rosjanami, mnóstwo rzymsko-katolickiej szlachty poszło do Petersburga szukać karjery i ożeniwszy się z Rosjankami tworzyli rodziny prawosławno-rosyjskie. Kto chce zrozumieć psychologję odstępstwa, niech studjuje rozprawy Henryka Rzewuskiego. Powinien znaleść się historyk, który obliczy, ile rodzin wynarodowiło się wskutek klęski powstania. To byłoby pożyteczniejsze, niż deklamowanie o krwi. Ludzie, nie mający odwagi nawet na zaprzaństwo, stworzyli pod zaborem rosyjskim zawstydzające bałagulstwo. Wartoby przedrukować rozprawy, obrazki i wspomnienia o „bałagułach“ — może zmusiłyby dzisiejszych ludzi do zastanowienia i wejścia w siebie samych. Cały kraj, jak świadczy literatura, pisana w kraju, pogodził się z nowemi warunkami tak łatwo i lekko, że krew przelana zasypała raczej przepaść, dzielącą Polaków od Rosjan. Niezadowoleni uszli na emigrację. Ale i ci szukali powrotu do pogorszonych warunków, jak świadczą prośby o amnestje i zaprzaństwo czy sprzedawczykostwo Czyńskich, Gurowskich, książąt Mirskich i t. d. Nawet adres Towiańczyków do cesarza Mikołaja jest inną formą wstępowania na drogę porozumienia czy ugodowości, która mniej sumiennych prowadziła do odstępstwa i wynarodowienia. Jeżeli zaś przypomnimy sobie, że po klęsce powstania styczniowego, (obok rzucania się mnóstwa inżynierów i przedsiębiorców do pracy zarobkowej w Rosji i na Syberji,

oraz licznej młodzieży do służby wojskowej rosyjskiej, co tysiące ludzi czyniło przynajmniej obcymi polszczyźnie), jeszcze w kraju, jako rezultat klęski, powstała partja, otwarcie nazywająca siebie ugodową, to chyba łatwo zrozumiemy, że krew rzucona w powstaniach między Polskę i Rosję nietylko nie wykopywała owej przepaści, o jakiej się chętnie deklamuje, ale przeciwnie, i to w zgodzie z naturą ludzką, skłaniała coraz liczniejsze grupy już to do zaniechania niewczesnych porywów, a przez naturalną reakcję do godzenia się z istniejącym stanem rzeczy, już też przez oportunizm, a nawet gorycz patrjotyczną i rozpacz do świadomego wynarodowiania się. A koleje Michała Czajkowskiego, powieściopisarza, czyż nie są pod tym względem pouczające i znamienne? Skończył niepokój duszy przez przyjęcie prawosławia, a potem niepokój życia przez samobójstwo. Ilu zaś polskich rewolucjonistów przeszło na islam, nie zdając sobie nawet sprawy, że to była także zdrada przekonań politycznych, bo nie zdoławszy pobić jednego despoty, poszli na służbę do despoty innego. Znałem w Paryżu jednego powstańca, który korzystając z obcego brzmienia swego nazwiska, nietylko się sfrancuził, ale nigdy przed dziećmi nie przyznał się do polskiego języka. Z bólem i goryczą, pod którą zapewne kryły się i wyrzuty sumienia, tłumaczył, że polskość jest równoznaczna z wiecznym niepokojem duszy i z pewnego rodzaju psychologją ściganego koczownika — zaczem wychował dzieci na pełnych Francuzów, nawet bez wspomnień polskich, aby ich zrobić normalnymi ludźmi. I ta martyrologja niektórych zaprzańców, jak Czajkowski, jak zbisurmanieni oficerowie i t. d. byłaby warta gruntownego opracowania. Może udręka duchowa owych renegatów nauczyłaby dzisiejsze pokolenie i następne, jak szanować odzyskaną wolność...

Możnaby tomy napisać na wykazanie fałszu tego twierdzenia, jakoby krew przelana zamykała wrota wynarodowieniu. Przytoczone fakty przekonają każdego zdrowo myślącego człowieka, że to nieprawda.

Ale są i pozytywne dowody na nieprawdziwość tego frazesu. Między rokiem 1880 a wojną światową nie było żadnego patrjotycznego upustu krwi. A przecież wtedy dokonało się owo pierwsze w dziejach polskich uświadomienie narodowe wszystkich warstw, we wszystkich zaborach, w kraju i poza krajem. Nietylko szlachta, ale i chłopi utrzymywali tajne szkółki polskie w zaborze rosyjskim, a w innych mieli kiesę otwartą na potrzeby narodowe. Robotnicy pracowali dla Polski, jedni rzucając bomby, inni broniąc Polski przed zawleczenie do niej beznadziejnej rewolucji rosyjskiej. Na wychodźtwie zaś, ludzie, którzy wyemigrowali bez żadnego uświadomienia, analfabeci i parjasi bez opieki, poczuli w sobie ducha polskiego. Między emigrantami polskimi w Ameryce a „yankesami“ nie było kropli przelanej krwi, a przecież ci ludzie bez ojczyzny, zamiast się wynarodowić, dopiero w Ameryce stali się świadomymi Polakami. Czas byłby skończyć z powtarzaniem niedorzecznego frazesu o potrzebie przelewania krwi w przemówieniach, artykułach, podręcznikach szkolnych.

To wyjaśnienie zostało wymyślone i dodane później. Belwederczykom nie przychodziło ono do głowy, a i władze cywilne i wojskowe Kongresówki, robiąc akces do wybuchu belwederskiego, bynajmniej tem się nie kierowały.

Półgębkiem tylko wspomina się o jednej przyczynie, którą, niestety, trzeba będzie uznać za istotną. Mianowicie tajne związki europejskie miały zwrócić się do swoich „braci“ w Polsce z żądaniem wywołania rewolucji, aby zatrudnić Mikołaja w domu i niedopuścić do jego interwencji w sprawach belgijskiej i francuskiej. Wolnomularze przypomnieli to dzisiaj mimochodem przy okazji stulecia belgijskiego, a przygotowywana w Paryżu wystawa pamiątek powstania listopadowego wychodzi już wyraźnie z tego przypomnienia.

Naprawdę zdumiewać się można nad mętnością myśli i odruchów w dzisiejszem pokoleniu, że tak otwarcie chce się chlubić i szukać chwały europejskiej w stwierdzeniu faktu, że Polacy w ciągu wieków wyciągali gorące kasztany z ognia za drugich i że uważali własny naród za martwy objekt do frymarczania. Naiwność w chełpieniu się tem, co powinno być największym wstydem, ma w sobie coś samobójczego. Garść ludzi, nie mających do tego żadnego uprawnienia, pociąga własny naród do przepaści, z lekkomyślnością wywołuje straszny przelew krwi, podcina korzenie przyszłości, ażeby spełnić rozkaz obcej mafji. Jeżeli gdzie, to tutaj można zastosować potępienie „obcych agentur“. To nie jest tytuł do chwały, lecz pobudka do wejścia w siebie, do skruchy, pokuty i mocnego postanowienia poprawy. Inaczej „rozdziobią nas kruki, wrony“.

A gdy wspomnimy, że i dzisiaj istnieją w Polsce spiski i tajne związki, odbierające rozkazy z zewnątrz, że w dzisiejszej bezczynności i rozstroju widać pracę na korzyść Niemiec, przygotowywanie Polski, żeby jako rozbity i bezwolny objekt stała się przedmiotem niemieckich eksperymentów obkrawywania, to dopiero znajdziemy pobudkę do głębokich refleksyj. A wszystko wynika z zaciekłości, która innych odsądza od czci, siebie uważa za coś wyższego i upiera się przy wierze w obce hasła, doktryny, wskazówki, a nie ma ona wiary w naród własny, ani poczucia osobistej i narodowej godności. Przez cały ciąg dziejów elekcyjnych nie mieliśmy polityki polskiej, tylko francuską, rakuską, szwedzką, moskiewską i t.d., podczas niewoli byliśmy objektem, wygrywanym przez zaborców i ich wrogów, a niedawno znów oficjalnie ogłoszono, że celem pewnych sfer jest walka z nacjonalizmem czyli z polityką polską.

Jest się nad czem głęboko zastanowić.

IV

Uderza w tem powstaniu jedna choroba polska, mianowicie brak odwagi cywilnej. Po napadzie na Belweder prawie wszyscy ludzie odpowiedzialni, ministrowie, posłowie, jenerałowie byli przekonani, że wojna nie ma widoków powodzenia. Musieli więc zdawać sobie sprawę, że klęska nie ograniczy się do samej tylko porażki militarnej, ale że pociągnie za sobą Bóg wie jakie represje. To też ludzie, mający odwagę własnych przekonań, odwagę cywilną, powinni byli uznać napad na Belweder za burdę i, odżegnawszy się od niej, ratować wojsko, konstytucję i kraj. Jeden jenerał Kurnatowski znalazł w sobie tę odwagę: złożył dymisję i wyjechał do siebie na wieś. Nie dał się wciągnąć w awanturę, której nie pochwalał. Już jenerał Wincenty Krasiński nie utrzymał tej miary. Ura-

towany od śmierci przez Chłopickiego, uciekł do Petersburga, do swojego króla, który przecież był najeźdźcą. Ale ten krok ma niestety uzasadnienie w polskiej naturze: skoro nie stanęło na mojem, ja im pokażę, że się ich nie boję. Z braku dojrzałości politycznej wypływają postępki skrajne, mające wszelką cechę prowokowania opinji. To jest konsekwencja braku odwagi cywilnej: albo uleganie prądowi z zaparciem się własnych przekonań, albo urąganie temu prądowi i drażnienie. Tymczasem prywdziwa męskość postawy leży w środku między temi biegunami.

Dlaczego po nocy belwederskiej zamordowano kilku wyższych oficerów, trudno psychologicznie wyjaśnić. Zapewno wstydzono się wypuszczenia cało Konstantego i wyładowano swój animusz na tych kilku ludziach, którzy nie okazali zachwytu z powodu awantury. Rewolucja nieuzasadniona wymaga dla siebie najwyższego entuzjazmu.

Nastąpił więc bieg po linji najmniejszego oporu—każdy minister, poseł, senator, jenerał mówił mniej więcej to samo: „wprawdzie nie pochwalam tego, co się stało, widzę, że z tego nic dobrego nie wyniknie, ale naprawdę trudno już było wytrzymać, nie można potępiać, że cierpliwość się wyczerpała, no więc stało się i trudno, odstać się nie może“. Tą drogą chodzi zwykle tchórzostwo cywilne.

W Polsce ludzie mają jeden wspólny, największy strach, strach, żeby ich nie posądzono o to, iż się boją. Stąd pohopność do pojedynków— to nie jest wcale odwaga, tylko strach przed posądzeniem o brak odwagi. Tem się tłumaczy napływ organizacyj wojskowych w chwili wybuchu wojny światowej do strzelców w Galicji. Nie zgadzano się na socjalistyczny kierunek „Strzelca“, nie wierzono w pomyślne załatwienie sprawy polskiej przy boku Austrji i Prus, zmierzających do wytępienia Polaków, ale ci, którzy w czasie pokoju ćwiczyli się wojskowo, zlękli się, żeby ich nie posądzono o brak odwagi wojennej, gdyby zaraz w pierwszych dniach wojny nie znaleźli się na placu boju i nie poszli tam, gdzie im dawano natychmiastową okazję do bicia się. Lwowska drużyna strzelecka oświadczyła wyraźnie, że podda się pod kierownictwo polityczne tej organizacji, która ją zaraz poprowadzi na pole. „Wyprowadzi w pole“ poprawiłem wtenczas owo oświadczenie.

Ta sama dążność do pokazania, że Polacy nie boją się wojny, skłoniła większość do ogłoszenia napadu ną Belweder za początek powstania narodowego. Ludzie nie lubiący myśleć i nie umiejący brać postanowienia po głębokiej rozwadze, a potem trwać niezłomnie przy raz powziętem postanowieniu, lubią kłopot decyzji zwalać na jednostki, albo na los. Jest to wschodni osad fatalizmu. I tutaj po zrobieniu napadu na Belweder, wszyscy uznali, że zaszedł fakt decydujący, poczem z uczuciem ulgi powiedzieli sobie: „a więc będzie wojna“. Co ma być po wojnie, o tem nie myśleli, boć przecież i po wojnie coś, jakoś będzie. Po zrobieniu nieprzemyślanego kroku, zdano resztę na los, czyli na moce wyższe. Wogóle lubimy troskę o siebie zdawać na moce wyższe, a gdyśmy popełnili czyn nieopatrzny, albo pospolite głupstwo, nie wystarczy nam uwolnić siebie od odpowiedzialności i zwalić winę na przeciwników, ale mamy jeszcze pretensje do Pana Boga, lubimy żądać od Niego rachunku za to, czemu naszego głupstwa nie zamienił na epokowy czyn pożyteczny i wreszcie wmawiać w Niego, że jeszcze się poprawi i złe obróci na dobre. My tylko sami nie potrzebujemy poprawiać się i uczyć z doświadczeń. Właśnie z takiego obłąkania myśli i przerzucania odpowiedzialności z siebie na Boga wyniknął w znacznej mierze mesjanizm. Wszystkie wyjaśnienia na niebie i ziemi są wtedy dobre, byleby nie pociągały za sobą potrzeby zastanowienia się nad sobą, przyznania się do błędu, postanowienia unikania tego błędu na przyszłość, to jest liczenia się z rzeczywistością.

Bardzo charakterystyczna jest rola Chłopickiego. Nie wierzył w możliwość wygranej, a mimo to przyjął dyktaturę z naczelnym wodzostwem. Ten żołnierz nieustraszony, nie znalazł w sobie odwagi cywilnej, ażeby się przeciwstawić prądowi. Był popularny i bał się stracić popularność. Jest to tak polskie, że bodaj potępiać go nie można, ale równocześnie tak szkodliwe, że trzeba z tego objawu zdać sobie sprawę, ażeby próbować go unikać.

Równocześnie zaś można obserwować kilka innych szczegółów, także dla naszej psychiki znamiennych. Ci, którzy okrzyknęli Chłopickiego naczelnym wodzem, apelowali do jego zdolności militarnych — tem samem spodziewali się, że będzie wojnę prowadził tak, żeby zwyciężyć. Tymczasem on, przyjmując ten posterunek, poprostu zawiódł ich zaufanie, ponieważ nie podzielał ich przekonań i miał odmienny plan polityczny. Mamy zatem nieszczerość, a możnaby powiedzieć i nieuczciwość wobec mocodawców, od których przyjął stanowisko, tudzież robienie polityki na własną rękę. Chłopicki, nie wierząc w powodzenie, zamiast walki na śmierć i życie prowadził tylko zbrojną demonstrację. Obok nieszczerości wobec sejmu i rządu, jest w tem także i politykowanie w wojsku, objaw najzgubniejszy dla państwa. W powstaniu pokazała się całkowicie owa niestosowność politykowania w wojsku. Chłopicki nie liczył się wcale z psychiką wroga. A przecież to jest główny warunek powodzenia, żeby wroga znać i do tej znajomości zastosować swoją taktykę.

Mikołaj był jakgdyby prorokiem, apostołem i wyznawcą despotyzmu, jako instytucji Bożej — stał się także później i męczennikiem despotyzmu. Wobec takiego człowieka można było jeszcze rachować na prawo i słuszność, ale nigdy na niekarność. Powstanie było dla niego tylko buntem własnego wojska przeciw prawowitemu monarsze i taki człowiek nie mógł z buntownikami pertraktować. A demonstracja zbrojna miała na celu tylko wymuszenie traktowania i ustępstw. Otóż mistyk despotyzmu nie mógł ugiąć się przed buntem. Skoro już powstanie wybuchło, polityk polski powinien był albo je stłumić w zarodku i pochwalić się przed Mikołajem, że mu oddaje kraj uspokojony, albo wytężyć wszystkie siły, aby Mikołaja pobić i złamać, bo ugiąć go nie leżało w niczyjej mocy. Że Chłopicki, ten żołnierz napoleoński, nie zastanowił się nad tem, że nie rozumiał, iż Mikołaj uważał się za coś nierównie większego od Napoleona -- on cesarz z Bożej łaski, gdy tamten był tylko uzurpatorem—to dowód, jak krótkowzroczną bywa polityka wojskowych i jaka lekkomyślność panowała w umysłach.

Historycy rozczulają się i unoszą nad nieskazitelnością duszy, siłą i wzniosłością uczuć tych kilkunastu młodzieńców, którzy uderzyli na Belweder. Być może, iż mają słuszność. Niemiec ma na to trafne określenie: *„Gute Leute, aber schlechte*

Musikanten". Mybyśmy powiedzieli: „zacni ludzie, ale marni politycy". Po co się więc brali do polityki? Ponieważ urządzili zamach bez wiedzy przełożonych i ponad głowami polskich władz, należałoby przypuszczać, że jako młodzi nie mieli zaufania do starszych. A jeżeli tak było, to powinni byli przygotować objęcie władzy przez swoich ludzi, utworzyć nowy rząd rewolucyjny, któryby posiadał ich zaufanie. Tymczasem oni po wypłoszeniu Konstantego, zajęciu odwachu i t. d. nie wiedzieli co począć. Niegodne ich zaufania ustalone władze musiały funkcjonować i, w zastępstwie zamachowców, obmyślać nową organizację dla wytworzonego nowego położenia. Nie można zatem określić ich wystąpienia inaczej, jak uznać je za nieodpowiedzialny, żakowski wybryk. Popchnęli naród na bezdroża i umyli ręce, mówiąc: niech teraz sam o sobie myśli. Zaprawdę szkoda zacnych ludzi na tak niepoczytalne postępowanie. I tylko rozkaz zagranicznej masonerji może wyjaśnić to zachowanie się: kazano zrobić burdę, więc ją zrobili. Reszta złoży się sama, czyli wschodnio-polski fatalizm: „jakoś tam będzie". A jenerałowie, zamiast ich pozamykać, lub w razie nieposłuszeństwa wojsk pozgłaszać dymisje, przyłączyli się do awantury, chociaż w jej celowość nie wierzyli.

Zachowanie się wyższych oficerów podczas kampanji wojennej godne jest również rozważenia. Intrygi, robienie sobie na przekór w obliczu wroga, kłótnie o plan kampanji, który przyjmowano nie ze względu na jego trafność, lecz ze względu na autora projektu; przy mianowaniu nowego naczelnego dowódcy targi o pensję, o sztab kucharzy — przerywanie bitwy z powodu nadejścia pory obiadowej, niedokładne wykonywanie planu przez tych, którzy nie byli jego autorami, skwapliwe przechodzenie granicy, żeby złożyć broń razem z powierzonym oddziałem — wszystko to świadczy o jakiejś niedojrzałej lekkomyślności, o absolutnym braku poczucia odpowiedzialności za państwo, naród, los wojny, za los powierzonych żołnierzy. Intryga nietyle już polityczna, ile fakcyjno-osobista przeżarła mózgi i serca, że dla poważnej myśli już miejsca nie stało. Są tam i przykłady poświęcenia i poczucia obowiązku, piękne i wielkie, ale wyjątkowe. Tymczasem nie wyjątki tworzą historję, lecz ogół, powszechność, a ta była moralnie licha. O tej lichocie świadczy fakt, że po upadku powstania niektórzy jenerałowie na emigracji we Francji nie wahali się handlować orderami wojennemi.

Gdyby chcieć po prostu z psychologji ówczesnej wywodzić genezę powstania, możnaby ją tak mniejwięcej wyjaśnić: znudzono się piętnastoletnim pokojem, a skoro przyszedł apel zagraniczny do zrobienia Mikołajowi awantury w domu, zrobiono wojnę, bo posiadano narzędzie wojenne w postaci wojska.

Wygląda to po prostacku i brzydko. A jednak puszczane od czasu do czasu balony próbne o budowaniu dzisiaj Ukrainy wskazują, że są czynniki, którym przykrzy się pokój, a że mamy wojsko, radeby puścić się na jakąś awanturę. I to nietylko czynniki wojskowe. Przecież ubierający się w togę powagi senatorskiej konserwatywni publicyści rozważali już takie przedsięwzięcie jako potrzebę na czasie.

I tu warto wtrącić coś o stosunku między państwem a wojskiem w Polsce. Wojny XVII w. zmusiły do sformowania wielkiej armji. Armja ta jednak, poza wieloma świetnemi czynami oręża, zostawiła także gorsze wspomnienia: niekarna, konfederująca się, tworząca święte i nieświęte związki wojskowe, strajkująca w obliczu nieprzyjaciela, politykująca, tak dała się we znaki obywatelom, że redukcja, przeprowadzona w 1717 roku, była logicznem następstwem niemożności opanowania niekarnego wojska. Wszystkie sejmy, wszystkie kazania, satyry, pisma polityczne XVII wieku są przepełnione skargami na „żołnierskie opresje nieznośne". Było to smutne doświadczenie, zrobione ze zbrojnem ramieniem, które nie chciało poprzestać na roli obrońcy kraju. Sto lat temu znowu wojsko zabawiło się w robienie polityki i doprowadziło już nie do redukcji, ale całkowitego unicestwienia samego siebie, a kraj pogrążyło w otchłań nieszczęścia.

(Dokończenie nastąpi)

Pińsk. JAN ZAMORSKI

SINCLAIR LEWIS

WIADOMOŚĆ o odznaczeniu Sinclaira Lewisa nagrodą Nobla obudzić musiała u niejednego czytelnika uczucie wdzięczności dla tego rozkładowego pisarza. Zawdzięczają mu więcej, niż pamięć przyjemności, jaką daje lektura dobrego prozaika, oryginalnego artysty. Nie temi zaletami—wybitnemi zresztą—Lewis celuje najwięcej. Większy styl, lepsze artystowstwo, — ależ i głębszą myśl—znaleźćby można gdzieindziej w beletrystyce współczesnej, i to nawet u twórców dotąd światową nagrodą niewyróżnionych. Wdzięczność dla Lewisa, to przedewszystkiem wdzięczność za Amerykę — za obraz Ameryki, pokazany Europejczykom w powieściach takich jak „Ulica główna", „Babbitt", „Marten Arrowsmith", „Elmer Ganty". Świat byłby uboższy, gdyby nie ta wiadomość, udzielona przez beletrystę, studjującego nowe widowisko dzisiejszej cywilizacji amerykańskiej z wyłącznością zainteresowań badawczych, bezprzykładną chyba dotąd w literaturze.

W utworach Sinclaira Lewisa osiągnął swój zenit typ powieści socjologicznej, której wzorem i najdzielniejszą pobudką posłużyła twórczość H. G. Wellsa. Nawet zewnętrznie, w luźnej budowie utworów, w podziale rozdziałów na numerowane paragrafy, wpływ Wellsa na Lewisa jest widoczny. Czy także w sferze ideowej autor „Babbitta" uległ suggestji wellsowskiej? Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyż nad całą młodszą generacją inteligencji, nietylko w świecie anglosaskim, lecz także u tych ludów obcej rasy, gdzie rozpowszechniła się dziś mowa angielska — a więc np. Hindusów, Afganów, Chińczyków — Wells, ze swym niezmiernym talentem kolportowania idei, zaciążył silniej, niż jakikolwiek inny wpływ literacki. Gdyby nie impuls moralny, udzielony przez Wellsa, twórczość Lewisa nie szłaby może tak konsekwentnie torem tych samych co u angielskiego mistrza nienawiści i uwielbień; członek starej cywilizacji i syn nowej łączą się w zgodnej anty-

patji do tradycyjnych wierzeń, instytucyj i zasad, które z cywilizacji rzymskiej weszły do europejskiej, a stamtąd, często zdeformowane, do amerykańskiej. Miłość prawdy, piękna, odwagi, szczerości — głoszą jak ewangelję świeżą, dla której niema miejsca w dawnych kształtach cywilizacyjnych.

I u obu apostolska żarliwość wciąż podsyca swoje gorąco oburzeniem na to, co uważają za bezduszne przeżytki kultów lub reguł. Lecz do spraw ideologji wrócimy później. Ani namiętnością reformatora, ani siłą poetycką Lewis równać się nie może z Wellsem; lecz jeśli ten ostatni stworzył nowoczesną powieść socjologiczną, to Lewis poszedł o krok dalej i rodzaj ten rozwinął ze skrajną konsekwencją. Ulubionych przez Wellsa rzutów syntetycznych, teoretyzowań, rezonerstw, zadum nad losami cywilizacyj—nie znaleźć wprawdzie u Lewisa; ale też jego metodą analiza, nie synteza. Wymowa socjologiczna jego powieści — to miljon szczegółów. Wszystkie ważne, ciekawe, — indywidualne, a w sumie znakomicie obrysowujące typ. Z pasją niesłychaną, zdumiewającą cierpliwością i niezwykłym talentem obserwacyjnym Lewis gromadzi i składa te suggestywne szczegóły. Postaci jego mają życie indywidualne, lecz nierównie większą częścią duszy żyją życiem środowiska. Lewis umie to wybornie uwydatnić i w najnaturalniejszy sposób przenieść zainteresowanie nasze właśnie na teren socjologiczny. Czujemy, że postaci jego, to typy wytwarzane seryjnie przez cywilizację amerykańską, podobnie jak maszyny do szycia Singera, czy samochody Forda. W cywilizacji tej, dziedziczącej przecież angielski indywidualizm, sfera tego, co indywidualne w duszy jednostki — widzimy to u Lewisa — została jednak znacznie zredukowana.

Autor „Babbitta“ i „*Main Street*“, sam indywidualista, buntownik przeciw normom tradycyjnym, obowiązującym przynajmniej wśród „anglosaskiej“ społeczności w Stanach, ze szczególnem zainteresowaniem śledzi właśnie to ujarzmienie jednostki przez amerykańską zbiorowość. Studjuje działanie specjalnych narzędzi, standardyzujących typ ludzki: prowincjonalnej amerykańskiej masonerji, korporacyj, Rotarjanów, Kiwanisów, YMCA etc. Pokazuje, jak grupy te rytmizują czynności i odruchy swych członków, aż do drobnego gestu, nawet wewnętrznego, — jak mało miejsca zostaje w sumieniu jednostki na jej własne, indywidualne sądy i gusty. Uprzytomnia to w wybornych, z ironją, lecz często i z humorem kreślonych obrazkach. Przypomnijmy sobie, jak Babbitt hałasuje, tupie, śpiewa, bawi się, puszy albo gorszy, jak na komendę, w towarzystwie kompanów z owych napoły-klubowych, pół-tajnych organizacyj, od których tak rojno w amerykańskiej demokracji.

Zrozumiałe, że uwagę Lewisa pociąga przedewszystkiem „*Middle West*“, — ów wielki obszar głębokiej prowincji amerykańskiej na wschód od strefy nadatlantyckiej, gdzie jeszcze względnie łatwo docierają wpływy europejskie, a w wielkich miastach żywioł międzynarodowy wziął górę nad dawniejszymi przybyszami angielskimi.

Nie, żeby autor „Martina Arrowsmitha“ nie interesował się kosmopolityzmem wielkiego miasta amerykańskiego i zachodzącym tam procesem mieszania się ras i narodowości. Wyzwolony jest zupełnie z suggestji wyższości „człowieka nordycznego“; przemieszanie się gatunków ludzkich wita z sympatją i ciepłym humanitaryzmem. Oko do obserwacji tych procesów ma doskonałe, — tak że nawet naukowcom, piszącym o Stanach Zjednoczonych (przykładem niech służy André Siegfried) — nieraz poręczniej, zamiast pedantycznego wywodu, zacytować urywek z Lewisa.

Ale najzawzięciej studjował Lewis właśnie ów *Middle West*, ów obszar odcięty od bezpośredniego wpływu cywilizacji europejskiej, domenę najczystszego, tradycyjnego amerykanizmu, gdzie najmniej tolerancji, gdzie tyranja nietylko obyczaju, ale prawomyślności jest najsilniejsza. Na kuli ziemskiej jedyna to — jak zauważył Chesterton — wielka kraina rolnicza, całkowicie pożyczająca gotową cywilizację z miasta, nie wytwarzająca żadnej sztuki ludowej, żadnego stylu życia. Promieniują na nią centra handlu, przemysłu, standardyzowanych rozrywek i standardyzowanej etyki *business*'u — jak Zenith, stolica stanu Winnemac, miasto fikcyjne, wsławione jako gród Babbitta. Jest to obszar panowania „fundamentalizmu“ — rządzi na nim ciemny protestantyzm, a rozmaite zakonspirowane bojówki nieraz stają w obronie porządku społecznego. Najdrastyczniejsza powieść, najbardziej gorzka satyra Lewisa — „Elmer Gantry“ — właśnie roztacza przed nami obraz stosunków religijno-sekciarskich na prowincji *Middle West*'u. Elmer Gantry pobrał początki edukacji w Paryżu — miasteczku prowincjonalnem w stanie Kansas; w Cato (Missouri) wziął udział w masówce YMCA, gdzie wyreżyserowano sceny zbiorowej histerji religijnej — i „nawrócił się“; skończył kolegjum duchowne baptystów w Gritzmacher Springs (Kansas) — poczem, wyświęcony na członka hierarcji duchownej tej sekty, przechodził różne mało zaszczytne przygody; skompromitował się doszczętnie, probował się ratować szarlatanerją teozoficzną, ale bez powodzenia; — zdawało się, że nic go nie ocali od zupełnego wykolejenia, gdy los niespodziewanie pozwolił mu „nawrócić się“ po raz drugi: Elmer, spotkawszy przypadkowo dostojnika organizacji religijnej metodystów, chwycił w lot nadarzającą się szansę: — „ja i nadal tak szanuję baptystów — ale doprawdy, przeczytawszy pańskie kazania, poczułem, że metodyści mają szersze horyzonty i więcej rozmachu — czyby ktoś wysoko postawiony u metodystów, pan np., nie mógł mnie przyjąć do ich hierarchji?“ Związawszy swój los z metodystami, Elmer, atletyczny wałkoń, celujący tubalnym głosem, zyskał sławę kaznodziei, co go zaprowadziła aż na duszpasterskie stanowisko w Zenith...

Po dobrotliwych satyrach, jak „Babbitt“, które uczyniły autora najbardziej rozgłośnym z amerykańskich pisarzy, szydercza analiza sumienia religijnego prowincji amerykańskiej ściągnęła na autora słuszne zapewne zarzuty przesady i przejaskrawienia. Po tem, cośmy już powiedzieli o Lewisie, zbyteczna dodawać, że wszelkie formy zorganizowanego życia religijnego uważa on za bezduszne szczątki. Jak powiada jeden z bohaterów, z którego słowami autor najwyraźniej się solidaryzuje — „Kościół Rzymsko-Katolicki stoi wyżej od wojującego protestantyzmu. Nie żąda, abyś wyrzekł się poczucia piękna, zmysłu humoru, ani przyjemnych słabostek. Żąda tylko, abyś wyrzekł się uczciwości i rozumu, serca i duszy“.

Dużo inspiracji ideowej zawdzięcza z pewnością Lewis pismom żydowskiego krytyka i publicysty, H. L. Menckena, któremu powieść o Elme-

rze Gantry dedykował — „z głębokim podziwem“. To też dla Europejczyka rzecznictwo prawdy, człowieczeństwa i sumienia, jakie głosi Lewis, jako ewangelję, z pewnością zbyt jest symplistyczne i nie ma wartości — pod tym względem apostolstwo amerykańskie podobnie jest nam dalekie, jak apostolstwo rosyjskie. Szczerością intencyj Lewis zdolny jest ująć i wzruszyć; ale—rzecz ciekawa — ten krytyk cywilizacji amerykańskiej, — ten entuzjasta europejskich idej wolnej myśli i niezależnego sumienia, ten czciciel głębi europejskiej, niematerjalistycznej kultury — zainteresować jest zdolny tylko jako interpretator życia amerykańskiego. Kto czytał „Dodswortha“, ostatnią powieść Lewisa, mającą za temat wrażenia i myśli dwojga turystów amerykańskich w Europie powojennej, ten musiał doznać zawodu. O Europie, żywej jako suggestja, jako wpływ i podnieta ideowa zdala, nic ciekawego nie miał Lewis do powiedzenia, gdy bezpośrednio wziął ją na wizjer. Czasem zauważy, że *Notre Dame* paryska jakoś większa się wydaje od nowojorskich drapaczy nieba; czasem zapyta: „czy gdzie w Ameryce potrafią tak zajmująco gawędzić przy filiżance kawy, jak w Paryżu, Berlinie, Warszawie?“ Ale nawet o Anglji, kraju mimo wszystko najbliższym Amerykaninowi, nie nastręczyło mu się żadne wnikliwsze spostrzeżenie. Ciekawie zato, po poprzednich powieściach krytycznych, przebija w ostatniej sentyment do Ameryki.

Dla nas najciekawsze zostaną jego przebogate w charakterystyczne szczegóły powieści — dokumenty z życia amerykańskiego w *Middle West*. Filmując to życie, stworzył sobie autor „Babbitta“ oryginalną technikę pisarską. Utwory jego czyta się doskonale: ożywia je od początku do końca spokojna, dyscyplinowana werwa. Wyrzekł się wszelkiego poetyzowania, cały liryzm wbił gdzieś wgłąb pod wyrazy. Ileż konsekwentniejszy w tem jego realizm od realizmu takich delatorów współczesnej prawdy życiowej, jak np. w Polsce Juljusz Kaden-Bandrowski, — u których prawda okupiona musi być stale poetyzowaniem *à rebours*... Nad liczny zastęp tych pisarzy w Europie współczesnej, Lewis wzniósł się inteligencją, talentem i oryginalnością beletrystycznej techniki. Witamy w nim jednego z tych autorów, którzy reprezentują prawdziwie już oryginalną literaturę amerykańską, — własnemi już środkami stylistycznemi, podług własnych kanonów smaku wyrażającą świat cywilizacji, już w niejednem odrębnej i żyjącej własnemi myślami.

WITOLD JERZY CHWALEWIK

STERTY MÓWIĄ...

Jesteśmy święte sterty,
jesteśmy samo zboże...
Kto śmie nas niepokoić?!
I kto nas płoszyć może?!
Jesteśmy pełne ziarna
i mamy w swojej cieśni
chrzęst kłosów już umilkłych
i przyszły szum ich pieśni...
Zgarnięta nam pod skrzydła
śpi w każdym, złotym kłosie
możliwość białej mąki,
woń chleba ta, co to się
w sobotni wieczór, latem,
po żywych domach błąka..
Kto śmie na chleb nastawać?!
Komu nie święta mąka?!
Kochał nas deszcz i słońce,
za skwar płacono nam rosą..
Byłyśmy dotąd ufne
jak te, co dziecko niosą,
świadome czci i pewne starania i opieki...
Dziś lęk nam trzeszczy w snopach,
nie daje zmrużyć powieki..
Bywało.. szły ponad nami
gwiazdami zatchnięte noce,
Wóz Wielki po przestworzu
złamany dyszel wlókł...
Słuchałyśmy uśmiechnięte,
jak mysz gdzieś w słomie chroboce
i czułyśmy szczęśliwe,
jak blisko nas był Bóg..
..Dziś noce są złe i straszne,
dziś noce są pełne trwóg..
Bezbronne jesteśmy i same,
nie mamy rąk ani nóg!
I krzyczeć nie możemy,
bo każdy snop jest niemy!
Było w nas zawsze coś
— to swojskie jakieś i duszne —
z chałupy krytej słomą.
Byłyśmy dobroduszne
i miałyśmy dotąd w sobie
cichą łagodność krowy..
Dziś jest w nas JESZCZE strach!
Lecz strach ten waszym będzie,
— tak nam dopomóż Boże —
gdy za nienawiść waszą
mścić się zapragnie ZBOŻE!
Za noce o tchu wstrzymanym,
za noce wpatrzone w mrok,
za gwiazdy, co spadły niezauważone,
za wytężony w ciszę słuch i wzrok..
Za chleb, co nie wie o głodzie,
za kłos, co nie wie o szumie,
za krzywdę pustych młynów,
za wody ciemny strumień
idący precz młynówką
silny, a bezrobotny..
My się zemścimy! Sterty!
My, straszne w naszym gniewie,
o którym dotąd nikt,
z tych co chleb jedzą — nie wie!
Bo głód ma oczy okrągłe,
bo głód ma sił nie wiele,
siedzi i zimną ręką
grzebie w wystygłym popiele..
..A popiół sterty spalonej
jest biały, martwy i słony..
Zboże jest święte! Słyszycie?!
Zboże jest żywe! Nie wiecie?!
I póki świat na świecie
tak było!
W każdem się ziarnie mieści
mądrość i wszechmoc boża.
Nie wolno jej uchybiać!
NIE WOLNO STRASZYĆ ZBOŻA!

Sierpień 1930 r. BEATA OBERTYŃSKA

NA WIDOWNI

Rzecz o literaturze warszawskiej. — Opinja pod terrorem mody. — Czy uda się zrobić modną cywilizację i przerobić ją na potrzeby literatury żydowskiej? — Jakże jest ostatecznie: literatura w upadku, czy w rozkwicie? — Forma i treść, talent i charakter. — Czy obrona cywilizacji narodowej jest sprawą partyjną?

WSPOMINAŁEM już w tem miejscu o wojnie literackiej, która wybuchła o dostęp do Funduszu Kultury. „Myśl Niepodległa" nazwała tę kampanję wyprawą mechesów po złote runo. Dyskusja polemiczna obejmuje coraz szersze kręgi, ściągnięta na odcinek Instytutu Literackiego, uważanego przez napastników za twierdzę Funduszu. Zapomniano w tych debatach o tem, że jeszcze nikt z walecznych nie wiedział o istnieniu Instytutu, kiedy walka podjazdowa o Fundusz już się rozpoczęła, a hasło do niej padło z nad Skamandra. Znamienna przytem jest delikatność towarzyska obrońców Funduszu, że ten zasadniczy punkt — dotyczący Żydów — pomijają.

W Polsce wrażliwość towarzyska o wszystkiem decyduje, co tłumaczy się bezwrażliwością etyczną w sprawach publicznych, gdzie obowiązkiem jest docierać do prawdy.

Niech się kilkunastu ludzi zmówi w Warszawie na najszkodliwszy jakiś proceder, to wkrótce panować będzie terror towarzyski, osłaniający ich zabiegi: widocznie to modne, skoro ma tylu chwalców; skoro się o czemś nie mówi, to widocznie nie wypada. Na tę psychologię towarzyską liczyć może w Polsce każda propaganda wszeteczna. Pisarze narodowi za to właśnie, że im na czemś zależy, że usiłują rzeczowo wskazywać interes narodu, podawani są w pogardę, jako niemodni, psujący zabawę i szkodliwi.

Rozlała się teraz szeroko dyskusja o świecie literackim, w którym ni stąd ni zowąd powstają jakieś obozy i wojny. Chodzi tutaj o to samo, co w walce o politykę państwową: o suwerenność. Skoro Polska ma utracić charakter narodowy, jako kraj o ludności mieszanej, to i organ jej uświadomień musi być bez serca polskiego. Staje otworem kwestja cywilizacji; trzeba uznać za przesąd, że istnieje styl właściwy Polsce, jako twórcy duchowemu. I tu wytwarza się wielkie niebezpieczeństwo, które trzeba rozumieć. Nie jest to zagadnienie t. zw. mniejszości narodowej, bo gdy każda inna mniejszość jest sprawą regjonalną, związaną z pewnem terytorjum i łatwo daje się rozwiązać lokalnie, tu zachodzi okoliczność dzielenia się swoją jaźnią. Żeby mogło do tego zmieszania ducha dwu różnych stylów dojść, trzeba całą cywilizację przebudować.

U nas także jest „ściana płaczu", tylko płakać nad niczem nie jesteśmy zdolni. Arabowie są żywiołem opornym, jak nasz lud po wsiach, a nasza inteligencja swojej ściany bronić się wstydzi, bo jest kiepską przeróbką z żywiołu na gapiącą się „publiczność". Wydaje się nam, że to jest walka jakichś nowych szkół pisarskich, walka czysto literacka. Tymczasem sprawa sięga głębiej. Zanim ktoś obcy zacznie nam duszę za nas wyśpiewywać, abyśmy w tem zagustowali, musimy naprzód zmienić swą wiarę: „rznąć karabinem o ziemię", stosunek swój do Boga i człowieka zmienić z idealistycznego na cyniczny, inaczej nawet urządzić życie społeczne. Im więcej będzie Arabów, którym te zmiany łatwo wykonać, tem bliżsi będziemy ruiny.

Jest rzeczą charakterystyczną, że już dzisiaj nie możemy się połapać ze swoją literaturą. Ludzie nowego porządku (raczej nieporządku) twórczości, czując, że kontakt literatury z narodem się chwieje, usiłują przerzucić pieczę nad nią na państwo. Sanatorzy po kawiarniach obiecują im pośrednictwo: ich głowa w tem, żeby kosztem skarbu powstała akademja literacka, która weźmie literatów na utrzymanie, oczywiście tych skłóconych z duszą narodu.

Ogół oświecony ma wrażenie, że literatura upada; o to się spierają. Jedni mówią: brak talentów, drudzy (sanacyjni), że są talenty, lecz publiczność czytająca w upadku. A prawdą jest to: talenty są, ale polska publiczność nie chce ich znać, bo są dla niej obce duchowo. Nie pomaga jarmarczna reklama: czytelnik polski nie może przełknąć powieści, robionych na model duszy bolszewickiej. To też książki leżą, a wtedy cała nadzieja, że państwo wyrówna różnicę i pisarza zabezpieczy. Poza tem Warszawa wprowadza w błąd pisarzy swojem podwójnem echem. Ktoś bardzo renomowany z fejletonów pornograficznych i wywrotowych w dzienniku, wydawanym dla Bezarabji (tak nazywa Warszawa Nalewki), wpada w megalomanję i dziwi się, że publiczność polska go nie uznaje.

To wszystko składa się, że literatura warszawska ma opinję dwuznaczną. Kwitnie czy też zanika? Prof. Szober („Kur. Warsz.") pisze:

> „Literatura nasza jest w upadku... Pozostało jako pokrzepienie teraźniejszości kilku epigonów niedawnej świetności, a przyszłość w czarnych barwi się kolorach"...

Przeciwko temu twierdzeniu wystąpił z całą gwałtownością pisarz, najbardziej zdaje się interesowany w tej sprawie, p. Kaden-Bandrowski, usiłując dowieść (w sanacyjnej „Gazecie Polskiej"), że prof. Szober nie ma żadnego pojęcia o tem, co mówi, a idący mu z sukursem w „Pamiętniku Warszawskim" p. Morstin, również powieściopisarz, dodaje:

> „Czy pan profesor (tytuł profesora jest w tym obozie obelżywy: spec) Szober, pisząc te słowa, zdawał sobie sprawę, że potępił wszystkich wybitnych prozaików epoki współczesnej, wszystkich świetnych poetów ostatniego dziesięciolecia z lekkomyślnością sądu, nie uzasadnionego żadnym argumentem"?

I wymienia nazwiska: Berenta („nasz kandydat do nagrody Nobla"), Staffa („kto wie czy nie największy dziś poeta liryczny na świecie"), Goetla, Kadena-Bandrowskiego, Nałkowską, Dąbrowską, Iwaszkiewicza, Lechonia, Tuwima, Słonimskiego, Wierzyńskiego.

> „Rozumiem — ciągnie dalej p. Morstin — że ktoś się nie zgadza z poglądami jakiegoś pisarza, że mu zarzuca brak tej ideologji, którą sam wyznaje, obojętność na problemy narodowe, nawet szerzenie niemoralności i haseł antyspołecznych, ale twierdzenie, że niema dziś w Polsce talentów... jest zbyt śmiałe. ...Gdzież tu mówić o upadku literatury? Rozkwit, bujny rozkwit i najlepsze na przyszłość nadzieje"!

Pokazuje się, że można powiedzieć: „rozumiem", nic nie rozumiejąc. Społeczeństwo, które potępia całą treść tworzenia (ideologję, moralność, tendencje społeczne i antynarodowe), nie może skakać na płot i piać: „rozkwit i najlepsze na przyszłość nadzieje"! Jak na redaktora miesięcznika literackiego, który miał być wzorowym i dlatego korzysta z subsydjów Funduszu Kultury, jest to bezmyślność, jeśli nie chęć błąkania opinji. U p. Morstina łączy się ten stan z wiarołomstwem, [kąsa

bowiem jednocześnie w tym artykule rękę rozdawcy Funduszu, z chlebem do niego wyciągniętą.

W sprawie warszawskiej kampanji literackiej zabrał głos p. Jerzy Dobrzycki w artykule „Opary z kotła czarownic“ („Czas“, nr. 264). Pogląd jego na literaturę owego sanacyjnego obozu jest taki:

„Dla literatury, podobnie jak i sztuk plastycznych, przyszły w Polsce odrodzonej chude lata. Zerwanie kontaktu z nauką mści się dotkliwie. Nasza twórczość na polu literatury i plastyki cierpi wciąż na chroniczną inflację. Produkcja jest ilościowo bardzo bogata, pod względem jakości niezmiernie uboga. Jest sporo młodych talentów, brak wielkich twórców. Co pozostanie z współczesnej twórczości dla przyszłości? Nic albo prawie nic.

Jakie trwałe wartości zyska narodowa kultura z współczesnego dorobku sztuki polskiej? Żadne lub prawie żadne. Paru epigonów sędziwych, pamiętających dawne jasne lata świetności literatury i sztuki, nie może dać wiary temu, iż jako twórcy dawno się już skończyli. Inni znów, co sprytniejsi, zastępują talent autoreklamą, stają na piedestałach, ułożonych z stosów marnych, często szkodliwych dla duszy polskiej powieści, i każą tłumom oddawać sobie cześć, należną genjuszom.

Nieuświadomionemu społeczeństwu brak w sprawach sztuki orjentacji i krytyki. Niewyrobieni, niesumienni lub oportunistyczni krytycy każą społeczeństwu szukać i czcić wielkość kapłaństwa sztuki tam, gdzie w istocie jest tylko szara przeciętność. Krytycy, tak śmiało uchylający rąbka prawdy, jak ostatnio Kołaczkowski, należą u nas do najrzadszych wyjątków. Taka atmosfera sprzyja najpomyślniej rozpanoszeniu blagi i szychu, zamiast powstawaniu rzeczywistych i trwałych wartości duchowych. Nad trupiemi wodami naszej dzisiejszej twórczości pływa bezkarnie płaz w skorupie snobizmu, pornografji, zakłamania się, naśladowania najgorszych wzorów obcych, i wszelakiej nędzy duchowej“...

Nareszcie opinja zaczyna przecierać oczy i coś w literaturze rozpoznawać. Kto się uważnie wczyta w powyższy wywód, ten przyzna rację mojej uwadze, wyżej wypowiedzianej, że cywilizacyjna wartość literatury nigdy w społeczeństwie nie będzie mierzona ilością i błyskotliwością talentów. Instynkt narodu, który szuka w literaturze wyrazu swej świadomości, rozpoznaje wartości wewnętrzne: one muszą — panie Morstin — odpowiadać stylowi ducha narodowego. Formy nie da się oddzielić od treści, jeśli chodzi o twórczość.

Dobrze się stało, że nareszcie nasi „akademicy“ dogadali się ze społeczeństwem. Sami tę rozmowę wszczęli.

W świetle tych uwag zrozumiemy na czem polega nieporozumienie w całej tej dyskusji literackiej. Oczywiście talenty są; a jednak upadek. O cóż więc chodzi? W Polsce nie sztuka mieć talent, ale sztuką jest w Polsce mieć charakter. W tym wypadku chodzi tylko o to, żeby literatura wpadała w charakter budowy polskiej cywilizacji. Wszystkie zakusy narzucenia Polsce literatury w stylu niemieckim, rosyjskim, a zwłaszcza żydowskim zawsze będą notowane na polskiej giełdzie jako upadek, na żydowskiej zaś — zwyżkowo.

Wszystkie moje usiłowania pisarskie zmierzały zawsze do tego, żeby przekonać czytających i piszących, iż twórczość duchowa jest jedna: albo się ją robi na jeden styl cywilizacyjny, albo życie przekreśla literaturę. Siłą twórczości jest charakter, polegający na wiernem, niezdradliwem oddaniu się wspólnemu dziełu cywilizacji narodowej. Za to, że tego związku przestrzegam i wyjaśniam go na obu polach—publicystycznem i krytyki literackiej — nazywają mnie pisarzem partyjnym. Ale się mylą, bo sprawa cywilizacji narodu nie jest zagadnieniem partji.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

O ISTOCIE WYCHOWANIA NARODOWEGO

OSTATNI numer (4, 1930) „Kwartalnika Pedagogicznego“, organu Sekcji Pedagogicznej Stowarzyszenia Chrześć.-Narod. Nauczycielstwa Szkół Powsz., rozpoczyna się od ogłoszenia ciekawego konkursu. Chodzi mianowicie o pracę naukową na temat: „Dotychczasowy stan badań nad psychologją porównawczą narodów“. Redakcja dodaje objaśnienie, że Sekcja Pedagogiczna pragnie uzyskać w ten sposób podstawę do opracowania projektu organizacji zespołu badań nad psychiką narodową polską. Badania takie będą zainicjowane przez Sekcję, jako przyczynek do rozwiązania zagadnienia wychowania narodowego.

Istotnie, wychowanie narodowe musi być przystosowane do cech psychicznych danego narodu. Wówczas najłatwiej cel swój osiągnie. Ale ten cel dopiero czyni je właściwie wychowaniem narodowem. A jakiż jest ten cel? Zdaje mi się, że najprościej odpowiedzieć na to można określeniem, że wychowanie narodowe jest to takie wychowanie, które wespół z innemi czynnikami zmierza do tego, by z wychowanków uczynić członków narodu. Wydaje się to banalne. Uprzytomnijmy sobie jednak, co to znaczy być członkiem narodu. Naród to nie jest zespół ludzi, mieszkających obok siebie, mówiących jednym językiem i posiadających może wiele jeszcze innych cech wspólnych oraz podobnych upodobań i interesów. Naród to jest organizm duchowy, trwający przez wieki, posiadający świadomość i wolę własną. Organizm ten może mieć różne stopnie zwartości — i od tego zależy jego siła i odporność w chwilach przełomowych. Jest to coś znacznie więcej, niż sumatywne połączenie jednostek; coś, co przestałoby istnieć, gdyby zmieniło się na „ludność“ danego kraju.

Siła narodu zależy od tego, w jakim stopniu każda jednostka jest w jego organiczną całość wcielona. I otóż to jest — wcale nie banalne — zadanie wychowania narodowego.

Do wytwarzania się organicznej jedności narodowej przyczyniają się, prócz wychowania, także inne czynniki. Najpotężniejszym z nich jest może posiadanie niezależnej organizacji państwowej. Państwo własne jest formą, w której najpomyślniej żyje naród i która służy też w normalnych warunkach do jego wewnętrznego scalenia. Pojęcia wychowania narodowego i państwowego stanowią w takich warunkach tylko odcienie, nie mogące być z sobą w kolizji. Inaczej jest, o ile organizacja państwowa chce być celem niezależnym od bytu narodowego i jest używana do rozbijania spoistości psychicznej narodu — wówczas wychowanie państwowe nie godzi się z narodowem. Przykładem klasycznym tego była Austrja — której los jest znany.

Organizacja państwowa nie może zastąpić duchowej organizacji narodu, ani też być uważana za formę doskonalszą, wobec której winna ustąpić forma narodowa. Rzeczy te byłyby u nas jasne, gdyby się zastanawiano poważniej nad istotą narodu. Ale pod wpływem zaszczepianego naszej umysłowości radykalizmu pojęcie narodu stało się (i to przedewszystkiem dla ludzi, zwących się „niepodległościowcami“!) pewnego rodzaju tabu, czemś, o czem się mówi jaknajmniej lub z pewnem skrę-

powaniem, niby o wypadkach alkoholizmu lub zboczeń umysłowych w rodzinie. Albo też pojęcia z tej dziedziny zaopatruje się w epitety: „bogoojczyźniany“ — czy też nawet „junkierski“ — piętnując je w ten sposób jako płód ducha reakcyjnego, nie mającego uznania dla szlachetnej walki klas, a dążącego do wojen eksterminacyjnych i opierającego się urzeczywistnieniu jedności wszechludzkiej.

Tej suggestji masowej, wiążącej się z prądami pacyfistycznemi (u ludzi czczących „Czyn Zbrojny“ a piętnujących „organicznikostwo“!), nie są zdolne przełamać bijące w oczy fakty, dokonywające się o miedzę, jak np. niepowrotny upadek wielonarodowej Austrji a szybkie podniesienie się po klęsce jednolitych narodowo Niemiec. W faszyzmie włoskim dostrzegają nasi pseudofaszyści tylko formę organizacji państwowej, a nie treść narodową, wypełniającą tę formę.

Osobom, odczuwającym potrzebę wyjaśnienia sobie istoty i dróg wychowania narodowego, duże usługi oddać może przełożona niedawno na język polski książka amerykańskiego profesora, bez ogródek mówiąca o nacjonalizmie, jako o idei, która dominować będzie w rozpoczynającej się epoce historji. Mam na myśli W. Mc Dougalla „Psychologję grupy“ (Warszawa, 1930) Książka ta ma podtytuł: „Zarys zasad psychologji zbiorowej oraz próba zastosowania ich do wyjaśnienia życia i charakteru narodowego“. Zaznaczę odrazu, że według Mc Dougalla rozwój nacjonalizmu nie prowadzi bynajmniej do wzajemnego wytępienia się narodów w wojnach, ale do stopniowego urzeczywistniania się zbiorowego życia narodów, przez co człowiek wzniesie się na nieosiągnięte dotąd wyżyny rozwoju duchowego.

W przeciwieństwie do dawniejszych prac z dziedziny psychologji społecznej, Mc Dougall odróżnia zasadniczo tłum od grupy zorganizowanej. Uczestnictwo w tłumie obniża duchowo jednostkę, gdyż traci ona świadomość własnego „ja“, jako odrębnej osobowości i działa wyłącznie pod wpływem impulsów instynktownych. Stając się natomiast członkiem grupy wyższego typu, jaką je t naród, jednostka rozszerza swoje „ja“, utożsamiając je do pewnego stopnia z całą grupą („nazywam się milion”).

Zasadnicze rysy wszelkiego zbiorowego życia wyższego typu stanowią: idea grupy i wola zbiorowa (starannie odróżniona przez autora od woli wszystkich zob. *l. c.*, str. 127 — 132). Idea jest to element poznawczy wraz z uczuciami, odnoszącemi się do grupy jako całości.

Tu trzeba wyjaśnić, że uczucie — tego rodzaju jak patrjotyzm — jest, według teorji rozwiniętej przez Mc Dougalla, systemem dyspozycyj wzruszeniowych, zogniskowanych na przedstawieniu przedmiotu. Patrjotyzm np. może zatem różnić się u poszczególnych jednostek po pierwsze przez ową stronę poznawczą — różny stopień wiedzy o ojczyźnie i różny sposób przedstawiania jej sobie, — powtóre różne mogą być dyspozycje wzruszeniowe, zogniskowane na tem przedstawieniu.

Własne „ja“ jednostki jest również przedmiotem pewnego uczucia i to uczucie właśnie rozszerza się z czasem na grupę, tworząc „ducha grupy“. W „duchu grupy“ uspołeczniają się uczucia egoistyczne i harmonizują się z uczuciami altruistycznemi.

W uczuciu, zwróconem na własne „ja“ zawarty jest m. in. element dążenia do stwierdzenia własnej wartości, który jest podstawą woli. Przy rozszerzeniu uczucia na grupę, ten sam element staje się podstawą woli zbiorowej.

Rozszerzanie się uczuć dokonywa się najlepiej przez włączanie się jednostki do coraz to obszerniejszych grup, zawierających się w sobie kolejno. Ponad narodem niema dotąd wyższego stopnia w takim szeregu grup. Ażeby istniał naród, idea narodu musi być obecna w świadomości jednostek i wyznaczać musi ich czyny; idea narodu i uczucie z nią związane jest podstawą woli narodowej [1]).

F. KOZŁOWSKI

---

[1]) Przez naszkicowanie paru zasadniczych myśli z książki Mc Dougalla pragnąłbym zachęcić osoby, które godzą się na to, że wychowanie narodowe ma za cel czynić wychowanków członkami narodu oraz że cel ten jest równoznaczny z podnoszeniem ich wartości ludzkiej, — do szczegółowego zapoznania się z tą książką, która dać może wiele wskazówek i argumentów w tej sprawie. Nie we wszystkiem zgodzić się można z jej autorem, np. w jego zapatrywaniach na rolę kościoła katolickiego, decydujące znaczenie rasy i in. Trzeba tę pracę przemyśleć i wziąć z niej to, co odpowiada naszym potrzebom.

NAUKA I LITERATURA

NOWA KSIĄŻKA PROF. PIGONIA

JAKO nr. 3 Bibljoteki „Źródeł Mocy“ wyszła świeżo z druku książka prof. Stanisława Pigonia p. t. „Do źródeł Dziadów kowieńsko-wileńskich“ (Wilno, 1930 str. 126).

Jest to zbiór szkiców, tworzących jednak zwartą całość i mających na celu wyjaśnić genezę tego dzieła, które, jak tego dowodzi autor, stoi u samej kolebki polskiego romantyzmu, gdyż utwór ten „zawiązywał się nawet jeszcze w atmosferze klasycystycznej“ (str. 7). Za początek dzieła uważa prof. P. stanowczo dzisiejszą część II, opierając swe twierdzenie przedewszystkiem na przestudjowaniu kopji utworu, dokonanej ręką Czeczotta, a przechowywanej w rodzinie Pietraszkiewiczów. Wśród innych argumentów autora, potwierdzających jego tezę, trzeba podkreślić wykazanie bliskiego pokrewieństwa II-ej cz. „Dziadów“ z najwcześniejszą balladą „To lubię“, mającą nader ścisły związek z osobistemi przeżyciami poety. W związku z tem prof. Pigoń dowodzi, że „stosunek poety do fantastyki ludowej w pierwotnych „Dziadach“ nie jest jeszcze całkowicie romantyczny“ (str. 54), co pozwala mu odnieść ich powstanie do r. 1820, t. zn. do okresu, poprzedzającego powstanie „Romantyczności“ (styczeń 1821), ballady właśnie dlatego ochrzconej tem mianem, że to był pierwszy rzeczywiście romantyczny utwór Mickiewicza.

Następnie prof. Pigoń szuka pilnie w II cz. „Dziadów“ śladów średniowiecznych misterjów, opierając się na dowodach zainteresowania Mickiewicza temi widowiskami już w owych czasach, a także dopatruje się wpływów zamierzchłych wierzeń religijnych, zarówno tych, które wydały klasyczny teatr grecki (str. 70), jako też zatartych niemal zupełnie resztek guseł staropruskich, a ujawniających się w t. zw. ucztach kozła (Rozdział ten drukowała swego czasu „Myśl Narodowa“).

Wysiłki te, o charakterze niemal archeologicznym, nie przesłaniają przecie oczom autora prawdy aktualnej, że jednak Mickiewicz narazie przemyślał „Dziady“, „jako rodzaj paraboli, zainscenizowanej dla kochanki z pewnym zamysłem życiowym, jako sposób szybszego uzyskania jej wzajemności“ (str. 98).

Nakoniec nieco uwagi poświęca autor zagadkowej t. zw. I części, popełniając jednak, mojem zdaniem, (powtarzam to za Chlebowskim), ten błąd, że cały wstępny monolog traktuje, jako przemówienie Dziewicy, gdy tymczasem od wiersza 17 („Codzień z pamiątką nudnych postaci i zdarzeń“...) mówi oczywiście ktoś inny, zapewne Gustaw, bądźcobądź osoba

z którą się poeta identyfikuje, czego bynajmniej nie można powiedzieć o pierwszej części monologu. Przecież nawet sam rękopis I cz. „Dziadów“ orjentuje nas już graficznie dość przekonywająco, że ów „doskonale wycieniowany portret“ (str. 104), owa „przepyszna minjatura“ (tamże), — to nie wizerunek Dziewicy, ale z całą oczywistością autoportret poety. Wogóle w wypadkach rekonstrukcji intencyj poety na podstawie bruljonów (jak w danym wypadku), niepodobna trzymać się litery tylko i kierować się względami wyłącznie formalnemi, lecz trzebą szukać motywów głębszych, natury wewnętrznej, czyli wkraczać w dziedziny psychologji oraz ideologji (Np. w rekonstrukcji dzieł Słowackiego z bruljonów popełnia się mnóstwo tego rodzaju błędów).

W związku z tem zastrzeżeniem nie wydaje mi się trafną próbą ustalenia chronologji tej części „Dziadów“ przez prof. Pigonia (na początek r. 1821). Sądzę, że nader pożyteczne tu byłyby badania stylometryczne, których, o ile mi wiadomo, nad językiem Mickiewicza dotąd jeszcze nie wykonywano.

Z drobnych wątpliwości, nasuwających się czytelnikowi, należy zwrócić uwagę na małą wiarogodność świadectwa niejakiego Kamińskiego, który w r. 1862 opisuje w „Kurjerze Wileńskim“ rzekomo podpatrzony przez siebie obrzęd Dziadów, literalnie w tej postaci, w jakiej go maluje poeta (str. 25). Toć, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, to reminiscencja lektury, nic więcej.

Książka prof. Pigonia, mająca stałe cechy wszystkich jego prac: gruntowność, sumienność i przenikliwość, — rzuca sporo światła na genezę Dziadów kowieńsko-wileńskich.

Wilno STANISŁAW CYWIŃSKI

PIERRE LASSERRE

KILKANAŚCIE dni temu zmarł w Paryżu jeden z wybitniejszych pisarzy francuskich ostatnich czasów, profesor Sorbony, Piotr Lasserre. Już na kilka lat przed wielką wojną, zmarły zwrócił na siebie uwagę świata literackiego, nietylko własnego kraju, szeregiem pierwszorzędnych prac z zakresu historji literatury, filozofji i krytyki literackiej, między innemi, głośnem dziełem o romantyzmie francuskim p. t. *„Le Romantisme Français“ (Essai sur la révolution dans les idées et les sentiments au XIX siècle.* 1907 r.).

W znakomitej tej pracy poddał Lasserre surowej krytycy nietylko estetykę romantyzmu, lecz wogóle całokształt tych pojęć o człowieku i jego stosunku do życia, jakich romantyzm był wyobrazicielem. W dziele tem wykazywał autor, że romantyzm z powodu swego bezwzględnego indywidualizmu myśli i uczucia, był przedewszystkiem siłą dezorganizującą zarówno naturę ludzką, jej umysł, wolę i uczucie, jak i kulturę, wyższy stan uspołecznienia. Występując jako negacja wszystkiego, uznał siebie romantyzm za najwyższą afirmację i siłom niszczącym nadał piękne miana rzeczy zniszczonych: swawolę nazwał swobodą, chaos genjuszem, instynkt rozumem, anarchję energją. Ślepym zapałom swoim potrafił nadać, w walce z oporną rzeczywistością, pewną spójność ogólną; zapamiętałym porywom dał pozór wspaniały. Będąc w istocie chorobą, urokiem pozorów swoich uwiódł i obłąkał nie jeden umysł zdrowy, łudząc, że prowadzi do czegoś wielkiego. Sztuka romantyzmu wypływa ze źródła uczuć indywidualnych, nieustannie podniecanych i egzaltowanych. Rzuca się ona na skarb środków ekspresji, nagromadzony i opracowany w pełnych chwały okresach sztuki — przywłaszczając sobie wszystko, co mieści w sobie najświetniejszego i najgorętszego, i ciska do swojej żarowni wszelkie style przeszłości, przekonana, że stąd, w braku stylu i ładu, wyjdzie przynajmniej uroczy zamęt. Romantyzm więc, podług Lasserre'a, jest rozkładem sztuki, jak jest rozkładem jednostki ludzkiej. Można go wogóle określić jako bezład uczuć i idej, wstrząsający całą ekonomją natury ludzkiej cywilizowanej.

Tego rodzaju pogląd na istotę romantyzmu poparł Lasserre dowodami, zaczerpniętemi z dziejów romantyzmu francuskiego, uwzględniając nietylko twórczość poetycką, lecz także ideały moralne i społeczne, teorje polityczne i historjozoficzne, których romantyzm był rodzicem.

Definicje Lasserre'a, aczkolwiek krańcowe, podlegające licznym zastrzeżeniom, są naogół słuszne, gdy chodzi o romantyzm fancuski, mniej natomiast mają słuszności w zastosowaniu do innych, np. do naszej twórczości romantycznej.

Nie mniej krytyka Lasserre'a uwydatniła znakomicie, co w dokonanej przez romantyzm rewolucji „uczuć i idej XIX wieku“, było fałszem, czczą egzaltacją oraz ruiną i rozstrojem zarówno sztuki, jak i wyższych stanów uspołecznienia.

Z innych prac zmarłego myśliciela, które nie miały takiego rozgłosu, jak książka o romantyzmie, wymienić należy jego cenne studja, poświęcone Fr. Nietzsche'mu *(„La morale de Nietzsche“, „Les idées de Nietzsche sur la musique“)*, jego świetne szkice krytyczne *(„Cinquante ans de pensée française“)*, książkę poświęconą „Duchowi muzyki francuskiej“ i t. p.

Od szeregu lat zajęty był Lasserre studjowaniem dzieł E. Renan'a, któremu zamierzał poświęcić dzieło, wyczerpujące wszystko to, co było ruchem „umysłu i serca“ — jak powiada — tego myśliciela, który odcisnął niezgładzone piętno na życiu duchowem paru pokoleń we Francji.

Dzieła tego Lasserre nie ukończył, parę lat temu wydał jego początek („Młodość Renana“), a przedtem w pięknej rozprawie (*„Renan et Nous“*) określił swój stosunek do całości zagadnienia, któremu na imię: Renan.

Wśród krytyków francuskich ostatniej doby, wyróżniał się Lasserre nietylko świetnością talentu pisarskiego, lecz i ogromnem wykształceniem filozoficznem, sumiennością zawodową i głębią swoich przekonań.

W. J.

RUCH WYDAWNICZY

Ukazała się książka Zygmunta Wasilewskiego, tym razem historyczna, p. t. „Wnukom o prapradziadku“ (Gebethner i Wolff. Str. 142 i portret). Autor opowiedział w niej dzieje swojego dziadka, Józefa Wasilewskiego (ur. 1759, zm. 1831), wysnuwając je z dokumentów. W nader treściwym szkicu, podkładając tło epoki, wnuk opisał żywot generała Wasilewskiego od wczesnej młodości, jako kadeta w Szkole Rycerskiej Stanisława Augusta, potem udział jego w Legjonach we Włoszech i w Legji Naddunajskiej, kampanję pomorską w r. 1807 i galicyjską, czasy służby jego w zarządzie wojskowym za Księstwa Warszawskiego, udział w kampanji napoleońskiej na Moskwę r. 1812, czasy niewoli do r. 1814, okres służby na stanowisku komendanta Zamościa i komendanta Szkoły Kadetów w Kaliszu, wreszcie opowiedział historję podania się do dymisji (1820) i dramatyczny schyłek życia. Wydobył w ten sposób z mroku historji, jak sam się wyraża, — ekshumował żywą postać, bardzo interesującą. Robota dokonana od ręki dla wnuków, będzie miała swoje znaczenie historjograficzne.

*

W ostatnim zeszycie „Pamiętnika Warszawskiego“ (zesz. 8 z r. 1930) znakomity kompozytor Karol Szymanowski ogłosił bardzo interesującą rozprawę: „Wychowawcza rola kultury muzycznej w społeczeństwie“ (s. 57—90). Jednocześnie dowiadujemy się, że Uniwersytet Jagielloński mianował Szymanowskiego doktorem honorowym.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Niema chyba większego dramatu dla człowieka bardzo brzydkiego, zakochanego, a któremu zdaje się, że żadna kobieta nie będzie mu odpłacać wzajemnością. Coursan kocha właśnie Denise w powieści p. Gustave Guiches, p. t. *„La part d'Amour“ (Fasquelle édit.)*, poślubia ją nawet, ale ta traktuje go bardzo oziębłe i jest zawsze nieprzystępna. Coursan też z tem większym zapałem oddaje się pracy. Jest on zaś wielkim realizatorem kinematograficznym, będącym równocześnie w trakcie zrobienia ogromnego wynalazku, mającego zrewolucjonizować produkcję siódmej sztuki. Ale pomimo pieniędzy i pomimo satysfakcji natury intelektualnej, Coursan cierpi z powodu obojętności żony. Pomiędzy małżeństwem panuje zaś, w gruncie rzeczy, tylko nieporozumienie. Będzie ono jednak w chwili, która mogła dla obojga skoń-

czyć się dramatycznie, wyjaśnione. P. Guiches, oprócz tej zręcznej intrygi, przedstawił również w sposób bardzo charakterystyczny życie artystów i wielkich macherów kinematograficznych, ich pogoń formalną za „obrazami“, ich ambicje, albo też żal pewnych aktorów, którzy oddali się kinematografowi po jakichś niefortunnych egzaminach i pomimo zdobytej fortuny nie mogą pogodzić się z losem ekranowych „*cabotins*“. Środowisko to ciekawe, nerwowe, a które autor zna doskonale. P. Guiches zresztą wydaje obecnie i inną powieść, a mianowicie „*La vie amoureuse de Murat*“ (*Flammarion édit.*). Jest to naturalnie biografja romansowana miłości impulsywnego i ambicyjnego Murata do Karoliny, siostry Napoleona, historja, która z powodzeniem mogłaby zostać przeniesiona na ekran.

*

Azorin, niestrudzony i płodny pisarz hiszpański, ukończył nową książkę „*Pueblo*“ (Naród), która wkrótce zostanie opublikowana. Olbrzymia ilość utworów Azorina świadczy o niezwykłej naprawdę jego pracowitości, mimo że pracowitość jest szczególniejszą cechą pisarzy hiszpańskich wogóle.

*

W Barcelonie zmarł w wieku podeszłym powieściopisarz kataloński Narciso Oller, jedyny autor reprezentacyjnej literatury katalońskiej wieku XIX, który dożył do ostatnich czasów. Z licznych jego powieści najgłośniejszą jest „*Pilar Prim*“, uważana za prawdziwe arcydzieło.

SZTUKI PLASTYCZNE

W SPRAWIE FOTOGRAFIKI

W ZESZYCIE Nr. 45 „Myśli Narodowej“ p. W. Frantz polemizuje ze mną i wbrew mojemu twierdzeniu utrzymuje, że fotografja jest dziełem sztuki. Jako stały współpracownik działu sztuk plastycznych, poczuwam się do obowiązku podtrzymania sporu, jakkolwiek rozmówca mój ujął go w formy nienaukowe i zaprawił barwami uczuciowemi, które go na manowce zawiodły. Z tego powodu przedewszystkiem muszę tu dać wyraz zdziwieniu, że uczony, estetolog, filozof sztuki w sprawie, nadomiar, tak spokojnej nie zdołał polemiki swojej utrzymać w szrankach ścisłej logiki i metody naukowej. Co do mnie, to, nawet osobiście tu i ówdzie przez polemistę zaczepiony, pominę milczeniem wszystkie jego wywody, do rzeczy nie należące, a główny nacisk położę na okoliczność podstawową, która, jak to w szkicu o fotografice zaznaczyłem, „rozstrzyga sprawę raz na zawsze“ („M. N.“ zeszyt 41).

Zanim o jakimkolwiek obrazie (a więc i o jakiejkolwiek fotografji) zaczniemy rozważać, czy można zaliczyć go do dzieł sztuki, musi on uprzednio odpowiadać pewnemu warunkowi przedwstępnemu i najprostszemu, tak dalece prostemu, że o nim się nie mówi, mianowicie: na całej powierzchni swej, w najmniejszej plamce i kresce, w każdym centymetrze kwadratowym musi on być (w oryginale) przez człowieka wykonany. Na zasadzie tego przedwstępnego i milczącego warunku nie zaliczamy do dzieł sztuki obrazów, odbitych w szkle, metalu, wodzie, mirażów pustyni, malowideł na skrzydle motyla, zacieków na starym murze (*vide* L. da Vinci) i tworów tym podobnych. Natomiast te same obrazy, z odbić, z mirażu, skrzydła motylego i muru przejęte i ręką człowieka w całości wykonane, możemy uznać za dzieła sztuki (o ile jednemu jeszcze, duchowemu warunkowi zadość uczynią).

Otóż tego przedwstępnego warunku fizycznego żadna fotografja nie spełnia i spełnić nie może, ponieważ jej atrybutem jest praca światła i przyrządu, a nie człowieka. Okiem i ręką fotografa jest aparat fotograficzny. Istotnie — w jakimże innym celu fotograf posługuje się aparatem, jeśli nie w tym, żeby mechanizm zastąpił oko i rękę człowieka? Z chwilą atoli, gdy zasadniczą część dzieła wykonywa nie człowiek, lecz przyrząd, dzieło staje się tworem techniki, a nie sztuki. Drobna część pracy, którą fotograf może wtrącić do dzieła aparatu, może przydać dziełu piękności, ale nie czyni zeń dzieła sztuki. Człowiek wypiększa wszystko — buty, tramwaje, armaty, nie znaczy to jednak, żeby przedmioty te stawały się przez to dziełami sztuki. Także indywidualność człowieka przejawia się w każdem jego dziele — naukowem, technicznem, społecznem, nie czyniąc ich przez to dziełami sztuki. Cechy indywidualne posiada czekolada, wino, mydło, samochody różnych fabryk. Indywidualne cechy różnych fotografów, w ich dziełach występujące, w najmniejszym stopniu charakteru sztuki im nie przysparzają. Te argumenty szanownego polemisty żadnej nie posiadają wartości. A wszelkim wogóle w tej sprawie argumentom zasadniczo przeczy sama obecność aparatu fotograficznego.

Nie rozumiem dlaczego filozof sztuki w polemice swojej nie podaje własnej definicji sztuki, co poręczałoby przynajmniej zgodność jej z resztą wywodów, ale powołuje się na definicję obcą (Ign. Matuszewskiego), w dodatku — cząstkową i niejasną. Ale i na tej definicji oparty wniosek logiczny przeczy całkowicie twierdzeniu mojemu rozmówcy, że fotografja jest dziełem sztuki. Matuszewski określa, że „dziełem sztuki nazywamy taki wytwór rąk i myśli ludzkiej...“ i t. d., a przecie fotografja z założenia swojego nie jest wytworem rąk i myśli człowieka. Wprawdzie szanowny mój oponent gołosłownie utrzymuje, że właśnie jest, lecz zdanie to pozostaje w tak jaskrawej niezgodzie z prawdą oczywistą, że aż przykro to wypominać. Jakaż tedy według mojego rozmówcy jest rola aparatu w wytwarzaniu fotografji? Kto na kliszy kopjuje kształty w przyrodzie istniejące? Kto na kartce papieru rozmieszcza setki plam światłocieniowych? Kto te plamy stwarza przedtem w odpowiednim porządku i stosunku na kliszy aparatu? Czy cała ta praca przechodzi przez myśl, oczy i ręce fotografa?

Szanowny polemista powołuje się na przetłoki, jako na szlachetną technikę fotograficzną. Ale przetłoki ani o włos nie umniejszają zakresu czynności aparatu! Na pierwszej odbitce, do tłoczenia innych przeznaczonej, fotograf pędzlem i rozczynem tuszu dokonywa ulepszeń światłocieniowych na plamach i kształtach, które w całości zrobione były przez światło w aparacie. Oto cała bezpośrednia w przetłokach robota fotografa, dotycząca artystycznej dzieła wartości. O tem, a i wogóle o roli człowieka w fotografice pisałem w szkicu swoim („M. N.“ zeszyt 41) w słowach następujących: „Pewną ilość artyzmu wnosić tu może sama obecność dozorcy-fotografa, a to, mianowicie, w wyborze przedmiotu, punktu widzenia, oświetlenia, układu przedmiotów i postaci, oraz w normowaniu tonu światłocieniowego. To wystarcza, ażeby fotograf miał kurtuazyjne prawo do przydomku „artysty“, ale fotografiki sztuką nie czyni“. Pomimo tak wyraźnego postawienia sprawy rozmówca mój bardzo dobija się o to, by fotograf posiadał miano artysty. Ależ prosimy! Owszem. Dopóki jednak artysta ten posługuje się widzącym i malującym aparatem, na rzemyku noszonym, dopóty ani fotografika — sztuką, ani fotografja — dziełem sztuki nazwane być nie mogą. Nie trzeba na to znać fotografij p. Bułhaka. Wystarczy znać przebieg pracy fotograficznej.

Oponent mój to stanowisko raczył nazwać „uprzedzeniem“. Tego rodzaju słownictwo w ustach uczonego estetologa i filozofa sztuki jest rzeczą dla mnie całkowicie niezrozumiałą. Każdy z nas posiada swoje poglądy, w danej specjalności wielostronnie przemyślane, w ogniu wielu doświadczeń wypróbowane, a przed publicznem ich wypowiedzeniem troskliwie rozważone. Uprzedzeniami kierują się tylko ludzie ciemni, z którymi niema „dyskusji“. Skoro zaś p. Frantz uczynił mi ten zaszczyt i „dyskusję“ ze mną rozpoczął, niechże będzie tak łaskaw i niechaj drugi zaszczyt zarezerwuje dla skromnych moich poglądów. Z dobrą wiarą to mówię, z polemiki bowiem rozmówcy mego widzę, że słowa jego w treści i wadze nie zawsze woli jego są posłuszne. Tak, naprzykład, miesza on grafikę z fotografiką, pasierba w stosunku do ojczyma nazywa dzieckiem nieślubnem i tym podobne niedokładności popełnia. Zapewne i „uprzedzenia“ jego są tylko potknięciem się mowy.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

OFENSYWA

UTRACJUSZOSTWO

ILEŻ to pieniędzy idzie teraz na te afisze wyborcze Bebeworów! Ileż to bel i tonn papieru! Ileż to drukarń zgarnia teraz forsę za drukowanie tych bzdur wulgarnych, tych łgarstw aroganckich, tych ewokacyj faryzeuszowskich, tych „zewów" i „zrębów" i tych bezecnych wyszczekiwań monotonnych na obóz narodowy? Cała obdrapana, parjasowska Polska oblepiona teraz tą różnokolorową, judzącą, podżegającą bibułą Bebeworów. Jeżeli poprzednie wybory kosztowały osiem miljonów, to ileż miljonów będą tych rozrzutników kosztowały obecne, przy których szafuje się mamoną już bez opamiętania. Potem oczywiście przyjdzie znów mocniejsze zakręcenie śruby podatkowej, która potulne czeredy płatników już całkiem przyciśnie i przylepi do muru płaczu i nędzy.

Jak to w „Balladynie", w akcie trzecim, o tym terrorze podatkowym mówi Grabiec?

„Trzeba teraz nałożyć podatki!
Słuchajcie mnie! a kodeks niech będzie wykuty
W spróchniałej jakiej wierzbie! Odtąd brać w rekruty
I żubry, i zające, i dziki, i łosie.
Kwiaty, jeżeli zechcą kąpać listki w rosie,
Niech płacą, rosę puszczam w odkupy żydowi,
Niech mi wódką zapłaci. Każdemu szpakowi
Kazać nie myśleć wtenczas, kiedy będzie gadał...
Zabronić, aby sejmik jaskółczy usiadał
Na trzcinach i o sprawie politycznej sądził.
Wróblów sejmy rozpędzić!
Ja sam będę rządził...
I wieszał i nagradzał".

Grabiec z „Balladyny" okazuje się zatem patronem Bebeworów. Konstytucji nie znosi; on jeden tylko ma wieszać, nagradzać, rozpędzać, nakładać podatki, brać w rekruty i o sprawie politycznej sądzić. Kontroli żadnej niema, natomiast są luzy, i dzięki tym luzom nieograniczone fundusze na agitację, na darmojazdy, na darmozjady, na hjeny wyborcze, na kiełbasę elekcyjną, na afisze, na plakaty, na nalepki.

Kiedyż wreszcie zacznie się i u nas era oszczędnościowa, która przecież już wszędzie nastała. Przecież złoto ucieka z Polski drzwiami i oknami, i obce i swoje. Warstwy wielkokapitalistyczne przenoszą kruszec za dziewiątą górę i za dziewiątą rzekę. Życie gospodarcze powoli, ale na oczach zamiera, „skrzepia się", kamienieje. Co tydzień gdzieś zamykają to huty, to tartaki, to składy, sklepy, warsztaty pracy. Parjasy, przygniatane zwałami podatków, wysprzedają sobie wzajem ostatnie graty. Wytrzymałość proletarjacka na nędzę polską łamie się i pęka, a na przedmieściach wynędzniałych miast, na peryferjach, dantejskie obrazy rodzin wyrzucanych masowo na bruk i słotę jesienną. Komornik sądowy stał się herbowym arcytypem, „główną rolą" ery sanacyjnej obok pałkarza, huligana-ideowca, bandyty-państwowca, mocarstwowego batiara, patrjotycznego nożowca, który z dubinuszką, z łomem, z nożem finlandzkim rzuca się na intelektualistów, na profesorów uniwersytetu, na korporantów, na redakcje narodowe i katolickie. Komornik i pałkarz... piąta brygada... Imperatorowej Sanacji.

Zapas dewiz i walut obcych w skarbcu kurczy się w oczach, kruszec jakby pod działaniem jakichś tajemniczych niewidzialnych X-promieni niknie, a tu, choć coraz mniej mamy na świecie rynków zbytu, ciągle zbytki i zbytki.

Ot taki, na ten przykład, zamek myśliwski w Wiśle, na Śląsku, w Beskidach naprzeciw Góry Baraniej czy jak tam... i potrzebnyż to? Fotografij kilka nam pokazywano z budowy. Śliczności, śliczności, bo to Szyszko Bohusz przecież! Kurzydły z Gorlic wielkopańska fantazja. Ale czy potrzebne teraz, w erze definitywnej ciasnoty gotówkowej i takiego samodzierżawia ostatecznej nędzy. Szyszko Bohusz też *gratis* nie stawia; sam sobie już śliczny pałac wykalkulował u podnóży „Wolskiego Parku" w Krakowie. Niby to ten zamek myśliwski kosztować będzie tylko półtora miljona, a najwyżej dwa, no trzy ostatecznie. Sam gmach. A urządzenie? A meble? A dywany, kominki, żyrandole, srebro, kryształy, a gościnnych, recepcyjnych pokoi *enmeublement*? *Gratis* dostaniecie? Dzików, Łańcut, Nieśwież dadzą? Obiecali? Znów drugi miljon na to pójdzie? Zastanówcież się ludzie, ludziska opętane radosną „tfurczością"! Toż przecież każda nowa rezydencja wzmaga jeszcze ekspensy, koszty konserwacji, służby, światła i t. p. Przecież król włoski właśnie oddał na różne cele wszystkie pałace, a zostawił sobie tylko jeden! Racconigi! Przecież te luksusy dziś nie modne i nikomu nie zaimponują! Porównajcież rodacy mili nasz budżet Prezydenta z innymi! Dobrze? Francja bogaty kraj? Prawda? Cztery miljardy w złocie w szkatułkach. A prezydent Doumergue ma 1.800.000 franków uposażenia. Niemcy, prawda? też bogaty kraj, 62 miljony mieszkańców? Co? Budżet prezydenta Hindenburga: 650.000 marek rocznie = 1.379.060 złotych; dwudziestu urzędników kancelarji prywtanej i dosłownie dwa (2) samochody do dyspozycji stałej! Stany Zjednoczone, prawda? bogaty kraj? od nas w każdym razie znacznie, co? Budżet prezydenta Hoovera na Biały Dom wynosi 438.000 dolarów = 3.898.000 złotych. Oszczędne te „yankesy"! Co?

No, a jak tam u nas? W r. 1926 budżet Prezydenta wynosił 2.436.260 złotych, a w roku 1930 podrósł aż do sumy 4.578.896 zł. rocznie. Cyfry ścisłe: sprawozdanie generalne senatu z preliminarza budżetowego, druk nr. 25. Jeszcze w r. 1929 wynosił 3.862.962 a na 1930/31 już cztery miljony i pół! Ale bo też kancelarja wojskowa liczy sobie 335 osób, pobierających razem 1.294.240 złotych, a kancelarja cywilna 24 osoby, razem 335 osób.

Byłoby teraz bardzo ciekawe wywiedzieć się, ile osób wynosi kancelarja wojskowa i cywilna prezydentów Hoovera i Doumergue'a, jak również ile samochodów liczy kolumna samochodowa prezydenta Hoovera, podczas, gdy nasza krągło: 22 maszyny.

O prezydencie Masaryku nie wspominamy tutaj, gdyż na Hradczynie panuje istotnie system oszczędnościowy bardzo rygorystyczny, który Sarmatów nawet by raził. Natomiast nie można pominąć tutaj milczeniem prezydenta Kuby, senora Machado, który dla dobrego przykładu sam obciął sobie pensję *sua sponte* do sumy 12.000 dolarów rocznie. Kpić sobie z takiej Kuby znowu też zbytnio nie należy, gdyż majątek państwowy Kubanów od naszego nie jest znowuż tak niebotycznie niższy...

Czasby więc już i pora zainaugurować i u nas erę nową, erę oszczędnościową. Takie pomysły np. jak stawianie pomników w dwunastu gminach powiatu Ostrowskiego (starosta samouk Zarzycki) należy uważać za całkiem luksusowe... Również te wszystkie imprezy festynowe, imieninowe, objazdowe, te wszystkie przeliczne parady, galówki, dożynki, spędzania po kilkanaście tysięcy *Paradebauer*'ów, górali, juhasów i gazdów z „kobzami", to wszystko w naszych warunkach ogółowego, masowego wynędznienia potwornego jest dosłownem utracjuszostwem. Również te wszystkie ni stąd ni zowąd „budujemy m o s t y dla pana starosty", to narazie poprostu zbytek. Za dużo gadzinowego funduszu wrzuca się też w gardziela wynajmowanej prasy. Za hojnie na radosną „twórczość" Ehrenbergów („Echo Tygodnia"), Stpiczyńskich, Lechoniów (*Café du Dome*), jak dawniej znów przesadnie futrowało się Kadenów czy Kadenacych.

Złoto ucieka dziś z Polski drzwiami i oknami. Tydzień w tydzień zamykają to garbarnię, to hutę szklaną, to tartak, to sklep, to hurtownię.

Niema mamony na łodzie podwodne, na aeroplany, a jest na pomniczki, na zamki myśliwskie, na sprzedajnych poetów, na dożynki i t. p. Zastanówcież się rodacy mili, jak się taka „tfurczość" radosna, nie może... a musi skończyć! Wcześniej czy później pociągną was przed Trybunał Historji.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Do jakiego stopnia Sanacja oduczyła się myśleć — przytoczymy zabawny przykład. „Kurjer Wileński" w przeddzień wyborów zamieścił grupę rysunków humorystycznych. Chłopczyk namyśla się, na jaki numer głosować, aż głowa mu puchnie. A że jest zupełnie pusta („Puste są tam tylko słowa" jak poucza wierszyk), więc odrywa się, jak balon, i odlatuje na szafę. Wtedy chłopczyk po drabinie idzie po nią, a z tej pustej głowy wypada rada: „głosuj na 1". Autentyczne. Chcieli jaknajlepiej dla jedynki, ale nie mają czem myśleć. Dowcip się przekręcił i palnął autora w nos. Kochani rodacy, my wiemy, że ktoś za was myśli, ale na wszelki wypadek uczcie się potrochu myśleć sami.

*

Bakcyl, zatruwający teraz duszę Polski, wzięty pod mikroskop, miałby pewno kształt znaku zapytania. Znaki tego kształtu wielkie, jak wieża, rzucają cień na ziemię polską. Do czego to zmierza? Jaki program?

— Ja wiem! — zawołał p. Szurig w „Przełomie".

Wszyscy rzucili się ku niemu:

— Gadaj czemprędzej!

A p. Sz. rozstrzelonemi czcionkami wyjawia kabałę:

— „R z e c z y w i s t o ś ć J u t r a P o l s k i — oto ideologja Piłsudskiego". (nr. 46, s. 4)

Rozchodzono się, pozierając trwożliwie za siebie.

NAKŁADEM
MŁODYCH OBOZU WIELKIEJ POLSKI
UKAZAŁA SIĘ BROSZURA
JANA REMBIELIŃSKIEGO

DNIEPR I WISŁA
(W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ BITWY POD WARSZAWĄ)
CENA 60 GROSZY

CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE

SZCZERBIEC
DWUTYGODNIK
WARSZAWA: ul. Lwowska 15, m. 3.

PRZESTWORZA
to idealna droga do przewozu towarów.

Dzięki transportowi powietrznemu, który daje możność kupcowi sprowadzenia każdego towaru w ciągu kilku godzin, nie potrzeba utrzymywać nadmiernych zapasów w sklepach i unieruchomiać gotówki. Dzięki szybkiej dostawie kupiec może się obejść małemi zapasami, a jednocześnie mieć duży i szybki obrót.

Informujcie się w biurach „L O T U" i oddziałach firmy ekspedycyjnej S. A. Hartwig.

Samoloty kursują codziennie lub dwa razy dziennie:
Warszawa—Poznań—Kraków—Katowice—Lwów—Bydgoszcz—Gdańsk—Wiedeń.

NAKŁADEM TOW. WYD.
„PATRIA"
SPÓŁDZ. Z OGR. ODP.
WYSZŁY KSIĄŻKI:

Joachim Bartoszewicz
ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ
Wstęp. — Państwo narodowe. — Ustrój federacyjny — Republika-monarchja. — Ustrój władz. — Sprawa mniejszości.—Terytorjum i granice.—Polski patrjotyzm.
CENA 3 ZŁ.

Zygmunt Wasilewski
PIEŚŃ W GÓRACH
Przedmowa. — Do słońca. — U źródeł. — Tragedja muzyka. — Poeci w Tatrach. — Na wyżynach kultury.
CENA 5 ZŁ.

Jan Gwalbert Pawlikowski
SPOŁECZNO-POLITYCZNE IDEJE SŁOWACKIEGO W DOBIE MISTYCYZMU
CENA 4 ZŁ.

Skład główny w księgarni Ossolineum w Warszawie Nowy-Świat Nr. 69.

OSTATNIE PRACE LITERACKIE
ZYGMUNTA
WASILEWSKIEGO

Mickiewicz i Słowacki (Gebethner i Wolff) . 3.—
Seweryn Goszczyński (Św. Wojciecha) . . . 2.—
Z życia poety romantycznego („Myśl Nar.") 1.20
Proces Lednickiego („Gaz. Warsz.") . . . 5.—
Jan Kasprowicz (Gebethner i Wolff) . . . . 4.—
O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej („Myśl Narod.") . . . . 2.—
Współcześni (Gebethner i Wolff) . . . . . 6.—
Dyskusje (Św. Wojciecha) . . . . 5.—
Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim (Gebethner i Wolff) . . . . . . 4.—
Poeci i teatr (Gebethner i Wolff) 7.50
Pieśń w górach („Patria", Ossolineum) . . . 5.—
Wnukom o prapradziadku (Gebethner i Wolff) 4.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.